WIADOMOŚCI DUSZPASTERSKIE

Nr 7-8-9 Lipiec — Sierpień — Wrzesień 1952

POZNAŃ Rok VIII

TREŚĆ

Strona

Prenumeratę przyjmuje PPK „Ruch" Oddział w Poznaniu, Kantaka 8/9, PKO Poznań V-11831/110.

Prenumeratę trzeba wpłacać najpóźniej do dnia 15. — miesiąca poprzedzającego zamawiany numer. Kto nie wpłaci prenumeraty, nie otrzyma odnośnego zeszytu i naraża się na to, iż następnych też nie otrzyma z powodu z góry ustalonego nakładu czasopisma.

Wpłacając pieniądze należy wyraźnie podać tytuł wpłaty.

Cena 1 egz. 5,50 zł; kwartalnie 16,50 zł; rocznie 66,— zł

Wydawca: Referat Duszpasterski Kurii Metropolitalnej w Poznaniu, Ostrów Tumski 2.

Redaktor: Ks. dr Maksymilian Rode. Adres Redakcji i Administracji: Poznań, ul. Grobla 1. — Tel. 37-46 i 46-95. N. B. P. V. Oddz. Miejski Nr 410-113-24.

WIADOMOŚCI DUSZPASTERSKIE

Nr 7-8-9 Lipiec — Sierpień—Wrzesień 1952 Rok VIII

Ks. dr Lech Kaczmarek, Poznań

Pełnia łaski w życiu Bogarodzicy

I. *Wprowadzenie.*

Posługujemy się w życiu umysłowym pojęciami, a ścisłość ich rozładowuje w wysokim stopniu nieporozumienia i błędy. Nierzadko używamy w życiu potocznym pojęć, których niesprecyzowanie stwarza sposobność licznych niejasności a w teologii groziłoby sądami pochopnymi i zagrażającymi czystości wiary. Stąd taka dbałość w nauce Kościoła o jasne wyrażenia prawdy, stąd taka dbałość o ścisłość pojęć.

Nie można wątpić, że i w filozofii brak skrystalizowanego sensu pojęć był w dziejach myśli ludzkiej zarzewiem filozoficznych błędów.

Byłoby niezmiernie ciekawą rzeczą wykazanie wszystkich zgubnych następstw, jakie np. u Kartezjusza miała niepoprawnie skonstruowana definicja o s o b y, określanej u tego myśliciela jako „substancja świadoma siebie".

Nieścisłość tego określenia (człowiek bowiem pijany, nieprzytomny, umysłowo chory nie przestaje być osobą, chociaż nie posiada zupełnie lub częściowo świadomości siebie) — miała istotnie szereg następstw w całokształcie filozofii Kartezjusza.

To samo w pewnym sensie można by powiedzieć o bardzo niesprecyzowanym pojęciu „intuicji" u Bergsona czy Kantowskim „złudzeniu transcendentalnym", czy wreszcie o pojęciu „nicości" u Sartre'a.

Wystarczy wnikliwiej popatrzyć na dzieje nauki J. Wiklefa, by zauważyć, że jego eucharystyczna doktryna heterodoksyjna wsparta jest właściwie na nieuściślonym pojęciu „przypadłości", która według oksfordzkiego herezjarchy jest właściwie niczym innym jak modalnością substancji.

Myśliciele skądinąd ciekawi i wielcy popełniali nierzadko tego rodzaju kompromitujące nieścisłości pojęciowe.

II. *Rodzaje pełni.*

Wypada więc, jeśli o problem pełności łaski w życiu Bogarodzicy chodzi, uświadomić sobie jasno i zrozumieć, co pojęcie tej pełni zawiera, a czego nie mieści.

Duszpasterz wypowiadający często słowa Anielskiego pozdrowienia „łaski pełna" nie może nie wiedzieć, o jaką tu chodzi pełnię. Wiedząc zaś sam, będzie i innym umiał piękno słów i nauki objawionej przekazywać.

Pełnia łaski Bogarodzicy nie oznacza jakiejś specjalnej formy uświęcającej, jakby chciał Ripalda[1]). Jednak stwierdzić należy, że owa pełnia powiązana była istotnie z godnością Boskiego Macierzyństwa moralnie wymagającego bardzo wysokiego stopnia łaski i świętości.

Macierzyństwo Bogarodzicy dopraszało się godności nadzwyczajnej w Tej, która była Naczyniem wybranym i Matką Słowa Bożego.

Pełnię łaski można jednak pojmować przedmiotowo i podmiotowo.

Przecież Chrystus Pan posiadał pełnię łaski „plenus gratiae et veritatis..."

Posiadał pełnię przedmiotowo to znaczy w takim stopniu, że w obecnym porządku Opatrzności niesposób posunąć się dalej poza miarę, w jakiej Chrystus łaskę posiadał.

Zaś Matka Najśw. posiadała pełnię łaski w znaczeniu podmiotowym, to znaczy zależnie od powołania, od zadań, jakie Bóg Matce Najśw. wyznaczył. Bóg bowiem udziela każdemu łask w zależności od zadań, jakie kto ma spełnić „każdemu z nas dana została łaska wedle miary daru Chrystusowego" — jak uczy apostoł narodów (Efez. 4, 7).

Nie posiadała więc Matka Boża łaski w możliwie najwyższym stopniu, ale posiadała względną pełnię łaski; to znaczy tyle, ile Jej było trzeba dla spełnienia powołania Bogarodzicy.

Zadanie Jej życia było jedynym w swoim rodzaju i żaden człowiek szczytniejszej godności nie piastował ani nie będzie piastował; — stąd nikt nie otrzyma ani nie otrzymał więcej łask niż Ona... łaski pełna, pełnością podmiotową.

To rozróżnienie przedmiotowej i podmiotowej pełni łaski ma w sprawie poruszanej przez nas — podstawowe, kluczowe znaczenie.

Pozwala ono bowiem postawić w właściwej perspektywie pełnię łaski Chrystusa Pana, Bogarodzicy i świętych.

---

[1]) Zob. De ente supernaturali, dysp. 79.

Dojrzał to bystrym umysłem swoim już Doktor Anielski, kiedy w nieśmiertelnej Summie Teologicznej (3, qu. 7. a. 10 ad 1) zauważa: „Najświętsza Dziewica nazwana jest łaski pełna nie ze strony łaski. bo nie posiadała łaski w możliwie najwyższym stopniu, w jakim łaska może być posiadana i nie odnośnie wszystkich skutków łaski — ale nazwana jest łaski pełną... bo posiadała łaskę wystarczającą do stanu (do zadania), do którego wybraną została przez Boga — tzn. by Matką być Boga..."

III. *U źródeł Objawienia.*

Jak przedstawia się sam fakt pełni łaski w życiu Bogarodzicy.

Ze zrozumiałym zdziwieniem przyjęła Najświętsza Dziewica słowa anielskiego pozdrowienia: Ave Maria gratia plena Dominus Tecum. (Łuk. 1, 28). Akcent należy tu położyć właśnie na słowach „łaski pełna", co może jeszcze dobitniej zaznacza się w greckim tekście „Kecha ritomené" wypełniona łaską. Wyraz polski jednosłowny, który by mógł tu coś pomóc „ułaskawiona" ma dziś zgoła inne znaczenie.

Ta pełność łaski, jaka stała się udziałem Bogarodzicy musiała wywołać zdziwienie u Bożej Rodzicielki, która „rozważała, cóż by to było za pozdrowienie" (Łuk. 1, 29)...

Bo też nie chodziło tu o jakąś łaskę stanu, raczej zewnętrzną, ile o pełność uświątobliwiającej wewnętrznej łaski, którą przecież została ubogacona i obdarzona zanim jeszcze wypowiedziała słowa przyzwolenia na zaszczyt Boskiego Macierzyństwa. „Pan z Tobą" — to nie zwykła jakaś formuła powitalna, ale to wiele mówiące i szczególne odezwanie — Pan z Tobą i to w szczególniejszy sposób z Tobą — dlatego, bo łaski pełną jesteś.

Stąd też w Ks. Przysł. 31, 29 słowa „wiele córek nagromadziło bogactwa, Tyś je wszystkie przewyższyła" — znajdują swój głęboki, istotny sens właśnie dopiero w Maryi.

Fakt pełności łaski w życiu Bogarodzicy znalazł swój piękny wyraz w powiedzeniu św. Epifaniusza o Matce Bożej „we wszystkim pełna łaski". Trafnie zauważa św. Augustyn, że „więcej łaski udzielił Bóg Najświętszej Dziewicy, ponieważ godną się stała począć i porodzić Tego, o którym wiemy, że żadnego grzechu nie miał"[2]).

Stąd też spotykamy się u pisarzy kościelnych dawnych wieków z różnymi określeniami mającymi obrazować pełnię łask N. M. P.: „przepaść łaski", „sancta sanctorum", „niewyczerpane morze boskich tajemnic". Zaś papież Pius IX w bulli

---

[2]) Zob. De natura et gratia c. 36.

Ineffabilis Deus nazywa Matkę Bożą „stolicą wszystkich łask Bożych" — co zawsze należy rozumieć w sensie pełni podmiotowej.

IV. *Utwierdzenie rozumowe.*

Rozważając zagadnienie pełni łaski w życiu Bogarodzicy nasuwa się na myśl mimo woli znany aksjomat, głoszący konieczność proporcji pomiędzy godnością, jaką ktoś piastuje, a zaletami, jakie winny go zdobić. Im ważniejszy piastuje kto urząd, tym większej potrzebuje łaski stanu. A przecież pełnia łaski Bogarodzicy jest nie tylko pełnią łaski stanu, ale wyjątkowym wewnętrznym, jak powiedzieliśmy, ubogaceniem Nosicielki Światła, jaką była Maryja Panna poprzez swe Boskie Macierzyństwo.

Nie ulega wątpliwości, że specjalnie trudne do wysłowienia duchowe powinowactwo Maryi Panny jako córy Boga Ojca, Matki Syna Bożego i Oblubienicy Ducha św. — domagało się specjalnego wyposażenia Jej najczystszego serca w bogactwa łaski.

V. *Zakres pełni.*

Wróćmy jeszcze raz do rozróżnienia pełni łaski w Chrystusie Panu i w N. M. P.

Pełnia łaski Bogarodzicy rozważana teologicznie doznaje pewnego zrozumialszego sensu, ale i słusznego ograniczenia, jeśli ją zestawimy z pełnią łaski u Chrystusa Pana.

Niewątpliwie szczytowym i centralnym punktem ciężkości w rozważaniu pełni łaski jest łaska uświęcająca nadająca duszy Matki Najświętszej wewnętrzną świętość w przeobfitym zakresie.

Oczywiście, że łaska w Chrystusie Panu rozpatrywana w swej treści, a więc nie ontologicznie — posiada w sobie pewną nieograniczoność czy — jeśli kto woli — „nieskończoność". Stąd też mówi się w teologii, gdy chodzi o pełnię łaski w Chrystusie — o pełni nieograniczoności, o pełni całości. Pozostaje to w ścisłym związku z faktem, że pełnia ta była przedmiotowa.

W zestawieniu z tą pełnią Chrystusową — człowieczą, pełnia łaski Maryi stoi daleko niżej, tak jak Macierzyństwo Boskie Maryi nie może równać się z zjednoczeniem osobowym Syna Bożego.

Chociaż więc świętość Maryi nie może pójść w paragon z świętością ludzką Chrystusa, to jednak ta pełnia łaski Boga-

rodzicy przerasta znacznie poszczególną świętość nawet najwyższych aniołów czy świętych Pańskich.

Owszem, pełnia łaski uświęcającej w duszy Maryi Panny przerasta świętość wszystkich aniołów i ludzi razem wziętą — jak głosi Suarez[3]).

Oczywiście, że w ślad za pełnią łaski uświęcającej szły w duszy Bogarodzicy cnoty teologiczne, dary Ducha św., cnoty wlane moralne za wyjątkiem cnoty żalu, zważywszy bezgrzeszność Maryi Panny.

Po tych wyjaśnieniach, dotyczących zakresu owej pełni łaski w życiu Bogarodzicy — trzeba jeszcze jedno uczynić zastrzeżenie.

Byłoby przesadą i fałszem, chcieć widzieć w owej pełni łaski Maryi Panny bez reszty wszelkie możliwe nadprzyrodzone dary, jak np. cielesną nieśmiertelność, wolność od cierpień czy wiedzę wlaną o rzeczach przyrodzonych. Stolicą Mądrości nie przestaje być Matka Najśw. chociażby z tytułu tego, że Matką była Syna Bożego, Logosu, Mądrości Odwiecznej.

Pełnia łaski nie sprzeciwiała się temu, by Bogarodzica była de facto Matką Boską Bolesną, a pod krzyżem „we łzach cała nie upadła ale stała"...

Jak wynika więc, należałoby unikać przesady w pojmowaniu zasięgu owej pełni łaski w życiu Bogarodzicy.

Może wreszcie być w życiu Matki Bożej mowa o postępie w cnocie i świętości, czego o świętości Chrystusa nie można powiedzieć. I tutaj pomaga precyzja pojęć. Pełnia łaski była u Niej podmiotowa, podczas gdy pełnia łaski i świętości Chrystusa Pana była przedmiotowa, co tak pięknie wyraził św. Tomasz z Akwinu w słowach o Chrystusie: „Habuit eam in summo, secundum perfectissimum modum qui potest haberi" (S. Th. III qu. 7. a 9).

---

[3]) Zob. De myst. vitae Christi disp. 18 sect. 4, nr 8.

Ks. prof. dr Zdzisław Obertyński, Warszawa

Sztuka a liturgia

Quaestiones selectae

Najwznioślejszym zadaniem sztuki religijnej jest niewątpliwie jej zastosowanie w formalnym kulcie bożym, jej wykorzystanie w tym celu, aby wykonywanie kultu odbywało się w warunkach dla niego najkorzystniejszych, tj., aby czynności litur-

giczne i ew. paraliturgiczne znajdowały zewnętrzne swe formy najbardziej odpowiednie dla swego istotnego celu, więc czci Boga i pozytywnego w niej udziału ludzi.

Naczelne to zadanie sztuki liturgicznej istnieje w każdym wyznaniu i każdym kulcie niezmienione, tj. wyrażenie formalne najwyższej czci dla bóstwa. Natomiast, zależnie od wyznania i od wierzeń zmieniają się postulaty sztuki liturgicznej w dziedzinie umożliwienia wiernym jak najbardziej celowego uczestniczenia w liturgii. Rozumie się, że zamierzam pisać jedynie o wyznaniu rzymsko-katolickim, a chcę zacieśnić temat jedynie do uwag nad budownictwem i wyposażeniem sakralnym kościołów, ale i w tak zacieśnionym temacie trzeba, jak to zobaczymy poniżej, uwzględnić pewne warunki, w jakich znajdują się uczestniczący w liturgii wierni, a z tych warunków mogą wynikać pewne postulaty partykularne.

Wiadomo, że stoimy wobec niezaprzeczalnego faktu, iż brak nam w obecnej dobie w naszym budownictwie i zdobnictwie sakralnym, ogólnego sentire cum Ecclesia. Brak go wśród ogółu duchowieństwa, brak zwłaszcza — i to jest najbardziej bolesne i niepokojące — pewnych nadrzędnych organów w naszej organizacji kościelnej ogólnopolskiej, pewnych komórek, które by były w stanie służyć konkretnymi wskazówkami i radami, a od których opinii i aprobaty byłoby uzależnione wykonanie planów świątyni, rzeźby, obrazu czy witrażu.

Nie posiadamy jeszcze żadnego kodeksu, który by ujął w paragrafy normy nowoczesnego, ale liturgicznego budownictwa i zdobnictwa sakralnego. Zapewne też się takiego kodeksu o niezmiennych konkretnych normach nie doczekamy. Choćby z tej prostej przyczyny, że zewnętrzne wyrażanie liturgicznych postulatów w budownictwie i zdobnictwie kościelnym nie jest skostniałą, niezmienną formą, lecz rzeczą mniej lub więcej wolnej ewolucji.

Istnieje zatem potrzeba stałego uzgadniania i zastosowywania nowych ujęć form do stałych postulatów liturgii, stałego wyczuwania ducha liturgicznego, stałego sentire cum Ecclesia.

A ów duch liturgiczny, to według określenia O. G. Rosetti odnośnie do ducha Towarzystwa Jezusowego (De spiritu Societatis Jezu, Freiburg 1888) „stały i charakterystyczny sposób widzenia, chcenia i odczuwania". Ten duch liturgiczny posiada dwie ogólne i stałe zasady: celowość i płynące z zasady celowości pewne normy prawne, ogólne lub partykularne. Zależnie od celowości i jej aktualnego zastosowania mogą normy prawne ulegać pewnym zmianom; tak np. Benedykt XIV wydał zakaz

stosowania w ikonografii szczegółów niehistorycznych, dzisiaj zaś katolicka sztuka japońska przedstawia np. Matkę Bożą jako Japonkę na tle krajobrazu japońskiego, a to z poparciem delegata apostolskiego arcybpa Constantini, nowożytna zaś sztuka europejska zna obrazy św. Józefa w bluzie i spodniach z XX wieku.

Pozytywne prawodawstwo kościelne wypowiada się odnośnie sztuki liturgicznej w Kodeksie prawa kanonicznego, w pismach Stolicy Apostolskiej, w rubrykach ksiąg liturgicznych: jak mszał, brewiarz, rytuał, pontyfikał, Memoriale rituum, Caeremoniale episcoporum, w dekretach i odpowiedziach Kongregacji Rituum, a partykularne w ustawodawstwie synodalnym.

Skoro duchem liturgicznym jest stały sposób widzenia, chcenia i odczuwania, to związane jest ono w znacznym stopniu, chociaż bynajmniej nie całkowicie, z tradycją i jej formami. Wiele form sakralnych jest nimi dzisiaj dlatego tylko, że od wieków były one stosowane dla celów kultycznych, że w pojęciu ogółu zrosły się one z kultem i posiadają dzisiaj swój umowny hieratyzm, którego nikt nie kwestionuje. Stąd nowe i nie tradycyjne formy spotykają się łatwo ze sprzeciwem nieuzasadnionym ani celowością sensu stricto, ani prawem. Sensu lato mogą owe formy sprzeciwiać się liturgicznemu celowi, jeżeli swą niezwykłością wywołują niepokój, tak przeciwny wszelkiej sztuce liturgicznej prawdziwie wielkiej, a przez wywoływanie niepokoju przeszkadzają skupieniu. Ale tak jak formy historyczne nie muszą być ideałem sztuki liturgicznej dlatego jedynie, że je stosowały wieki minione, tak samo formy nowe nie muszą być złe dlatego jedynie, że są nowością. Broni ich wyraźnie encyklika „Mediator Dei". przestrzegając jedynie przed nagim naturalizmem lub przesadnym symbolizmem.

Zasada celowości w budowie i wyposażeniu kościoła brzmiałaby moim zdaniem: celem wznoszenia i zdobienia kościoła jest umożliwienie w danych warunkach fizycznych, materialnych, regionalnych itd. wykonywania formalnego kultu Boga przez ludzi w sposób jak najlepszy. Świątynia katolicka ma być miejscem sprawowania ofiary Nowego Testamentu, w której uczestniczyć mają wierni, ma być domem Boga dla wiernych. Jako dyrektywę decydującą musi sobie tę zasadę postawić architekt, malarz czy rzeźbiarz, projektujący kościół lub jego wyposażenie. Zanim poweźmie decyzję, musi nabyć zrozumienie zastosowania tej zasady. W wypowiadaniu swej koncepcji musi być prawdomównym. Prawda w wypowiadaniu swego zdania domaga się szczerości, szczerości takiej, jak szczerą ma być wia-

ra, która warunkuje potrzebę świątyni. Więc bez sentymentalizmu, bez przesady, bez sztucznego patosu. Oczywiście, że szczerość taka może w swej wypowiedzi być bardzo ubogą, jeżeli artysta cierpi na ubóstwo myśli liturgicznej, gorzej, jeżeli jest wypowiedzią jej całkowitego zapoznania.

Prawda prowadzi do pokory.

Artysta musi być pokornym wobec wzniosłości zadania. Pokora wymagać będzie od niego maksimum przygotowania, a z drugiej strony ustrzeże go od przesady szczerości, jaką może być impertynencja. A takiej impertynencji w sztuce mamy niestety również w dziedzinie budownictwa i zdobnictwa sakralnego odstraszające przykłady, choćby w Niemczech i Szwajcarii, gdzie die sachliche Kunst przybrała zuchwałe formy trywialności.

Prawda wymaga od artysty aby tworzył on nie dla chwilowej mody, nie dla poklasku w prasie, lecz dla Boga i dla stuleci.

Prawda domaga się dalej, aby świątynia, wznoszona i zdobiona dla Boga, była równocześnie przystępną i pod każdym względem celową dla ludzi. Przystępną nie tylko w pojęciu lokalowym i technicznym, ale w pojęciu zrozumienia i swojskości. Kościół dobitnie i niedwuznacznie ma mówić o swym przeznaczeniu nie świeckim, lecz wybitnie i ekskluzywnie sakralnym. Musi przemawiać swoim położeniem i wydzieleniem z laicyzmu, ma być nie z tego świata, ale jednakowoż na tym świecie. Dlatego świątynia nie może być całkowicie obcą swemu otoczeniu, w znaczeniu topograficznym i urbanistycznym, nie może też byc obcą w dziedzinie folkloru dzielnicy kraju. Toteż zasadniczą pomyłką jest wznoszenie świątyni gotyckiej np. w Chinach lub chęć wzniesienia kościółka podhalańskiego np. w Łodzi.

Wracając do pozytywnego prawodawstwa kościelnego, to odnośnie samego budownictwa sakralnego daje ono niewiele ściśle określonych wytycznych, pozostawia więc dużą swobodę. Can. 1164, § 1 poleca za to biskupom, aby w razie potrzeby zasięgali porady znawców, celem zastosowania norm przyjętych przez tradycję chrześcijańską i prawideł sztuki sakralnej przy wznoszeniu nowych lub odnawianiu dawnych kościołów. Odnośnie rzeźby i malarstwa, prawodawstwo kościelne zarówno ogólne jak partykularne jest znacznie bogatsze. Ciekawe jego zestawienie daje ks. Ignacy Grabowski w swej pracy „Malarstwo w ustawach kościelnych". Wśród ustaw synodalnych znajdujemy interesującą uchwałę synodu prowincjonalnego w Mediolanie w roku 1565, która biskupom poleca zwoływanie malarzy i rzeźbiarzy i pouczanie ich, czego mają unikać w sztu-

ce religijnej. Szereg takich uchwał przewiduje kary nie tylko dla artystów wykonujących, ale i dla fundatorów. Wśród takich uchwał synodalnych nie brak również głosu synodów polskich. Kodeks prawa kanonicznego nie przepisuje żadnej ciasnej normy, daje swobodę w ramach myśli Kościoła, ale też domaga się wyraźnie aprobaty biskupa dla obrazów, mających cel kultyczny (can. 1279; 1385 n. 3; 1399 n. 12).

Rozumie się, że w ramach niniejszego artykułu dać mogę jedynie kilka uwag ogólnych, i to dotyczących tylko punktów najważniejszych. Najważniejszych z punktu widzenia celowości.

Pierwszym zagadnieniem przy wznoszeniu nowej świątyni jest wybór miejsca. Od umiejscowienia kościoła zależy w znacznym stopniu w naturalnej konsekwencji jego planowanie i to nie tylko technicznie i statycznie. Jak już zaznaczyłem powyżej, świątynia nie może być całkowicie obcą swojemu otoczeniu. Jeżeli z jednej strony kościół ma nawet zewnętrznie wyrażać, że jest domem Bożym, jeżeli musi unikać charakteru laickiego, to jednak z drugiej strony nie może stawać się elementem całkowicie obcym swojemu otoczeniu. Obraz uwydatnia się lepiej w odpowiedniej ramie, klejnot potrzebuje odpowiedniej oprawy, tak samo i świątynia potrzebuje odpowiedniego dla siebie otoczenia. Jeżeli projektodawcy nie są z góry związani miejscem już wyznaczonym, to należałoby uwzględnić kilka postulatów płynących znów z zasady celowości. Kościół ma umożliwiać skupienie, jednakowoż z drugiej strony ma on być łatwo dostępnym dla wiernych. Mylnym jest pojęcie, które chce traktować kościół jedynie jako łatwo widzialną, monumentalną budowę; taką bowiem jest rola pomnika. Kościół ma mieć miejsce spokojne i ustronne, ale też niezbyt odległe. Wadliwym jest stawianie kościoła bezpośrednio przy ruchliwych placach, lub też stawianie frontowej elewacji kościoła w linię zwartej zabudowy ulicy. W tym wypadku cofnięcie świątyni wstecz i w głąb daje zarówno lepszą perspektywę wzrokową elewacji, ale też znacznie ważniejsze — odsunięcie świątyni od zgiełku ulicy i cenną ze względów praktycznych i symbolicznych wolną przestrzeń przed głównym wejściem. Wadliwym jest ustawianie kościoła na ostrych wzniesieniach, jeżeli nie ma dla ogółu łatwego dostępu do kościoła.

Otoczenie kościoła musi być celowe, rozumie się w ramach nakreślonych z góry projektodawcy. Przede wszystkim tchnie niewątpliwie poganizmem przytłaczanie kościoła plebanią, a więc jej położeniem, rozmiarami czy wyglądem, bez względu

na to, czy jest ona organicznie połączona z kościołem, czy też nie. Cennym elementem, który należy starannie wyzyskiwać, są różnice poziomu, o których wspominałem powyżej. Jeżeli ustawienie kościoła na wzniesieniu odpowiada dobrze myśli o jego wyższym przeznaczeniu, to wzniesienie to można jeszcze silniej podkreślić schodami i murami oporowymi. Całość otoczenia kościoła winna być rozplanowana przez architekta-ogrodnika. Kilka poważnych drzew daje kościołowi zasadniczo znacznie korzystniejsze otoczenie niż liczne zarośla. Najpiękniejsze zadrzewienie nie da jednak kościołowi odpowiedniego ujęcia, jeżeli brak mu będzie podkładu i otoczenia wzorowo utrzymanych trawników. Innym ożywieniem murów świątyni, mogącym również symbolizować żywotność kultu, jest stosowanie roślin skalnych oraz pnączów, ale takich, które murów nie zawilgacają, lecz przeciwnie wysysają z nich i z fundamentów wilgoć.

Poza i ponad indywidualnym ujęciem, jakim może i winna być wypowiedź projektującego artysty, musi świątynia już zewnętrznie posiadać pewne właściwe sobie charakterystyczne cechy, ogólne i stałe, cechy kościoła. Cechy te mają w swoim zakresie i swoimi środkami dopomagać do formalnej chwały Bożej także drogą uczucia. Do tego potrzebny jest przede wszystkim charakter dostojeństwa. Nie chodzi o wymiary gigantyczne, które mogą, ale nie muszą działać majestatycznie swoim ogromem. Chodzi o proporcje i równowagę, a więc o spokój. Natomiast niepokój wywołują wymiary zbyt niskie poziomo, lub zbyt wąskie pionowo, bo oddziaływują ciasno lub duszno. Wywołują go wreszcie efekty świetlne lub barwne, lub konstrukcje nieoczekiwane, do których wyglądu nie przywykła jeszcze bynajmniej dzisiejsza generacja tam, gdzie oczekuje ona spokoju, umiaru, harmonii. Niepoważnym jest tam każdy tylko nowy a tani efekt, a zgrzytem może być chwilowa moda. Cały szereg nowych świątyń w Anglii, Niemczech i Szwajcarii nie nosi w swoim wyglądzie żadnej cechy sakralnej, lecz przeciwnie, domaga się dopiero wyraźnego ustnego objaśnienia, że ta fabryka, hala targowa, stajnia, garaż lub hangar jest celowo jako świątynia katolickim planowanym kościołem.

Jeżeli kościół ma już hieratyzmem zewnętrznego wyglądu mówić wyraźnie o swoim przeznaczeniu, to tym bardziej jego wnętrze. Wnętrze bowiem naszej świątyni jest oczywiście znacznie ważniejszym niż jej wygląd zewnętrzny. Niemniej pewne cechy sakralnego rozplanowania wnętrza, np. prezbiterium i nawa winny być również zaznaczone w architekturze

na zewnątrz. Już na zewnątrz winni wierni móc dostrzec, gdzie jest w budowli kościelnej miejsce „Święte Świętych”.

Do elementów nadających już na zewnątrz powierzchni murów pewien charakter, należą okna. Tym ważniejszą jest ich rola dla wnętrza świątyni, której głównym i zasadniczym celem jest to, co się dzieje i znajduje w jej wnętrzu. Widzialność tego wnętrza, dostrzegalność wewnętrznych szczegółów architektury i wyposażenia, widzialność czynności liturgicznych i czynny w nich udział, wszystko to zależy w pierwszym rzędzie od światła, wprowadzanego przez okna. Nie chodzi o to, aby okna dawały wnętrzu światła jak najwięcej; przeciwnie, wewnątrz świątyni musi być stosowany pewien celowy umiar, względnie celowe stopniowanie.

Wnętrze świątyni powinno celowo ułatwiać skupienie, a więc pewne odgrodzenie i odcięcie od świata zewnętrznego. Stąd postulaty, aby dolna krawędź okien znajdowała się powyżej zgromadzonych wewnątrz wiernych. Ideałem jest i pozostanie światło górne. Ściany dają nam wtedy pożądane odosobnienie, a oświetlenie przychodzi z kierunku najbardziej naturalnego. Zupełnie wadliwym a ciągle jeszcze stosowanym jest umieszczanie okien wprost naprzeciw oczu widza. Okna te nie oświetlają, lecz oślepiają i jeżeli bezpośrednio pod nimi, lub gorzej na ich tle znajduje się ołtarz lub jego nastawa, to sprzeciwiają się swemu zasadniczemu celowi: łatwej widzialności ołtarza i spełnianej przy nim funkcji liturgicznej. Zupełnie wadliwym jest umieszczanie okien nisko w stosunku do sklepienia lub stropu, co daje oświetlenie wręcz przygnębiające, jaskiniowe. Całkowicie pożądanym jest, ale w praktyce trudnym do zastosowania, wprowadzenie oświetlenia z tyłu, a więc w kierunku wzroku wiernych. Zazwyczaj nie wystarczy ono na oświetlenie całej długości naw, a przede wszystkim najmniej oświeci część kościoła najważniejszą, która właśnie powinna mieć najwięcej światła, to jest sanktuarium. Bardzo korzystne może być tylne i górne światło w sanktuarium wyższym od nawy. Próby wprowadzenia światła tylnego w nawie przez łamanie jej ścian względnie jej stropu tylokrotnie, ile jest okien, daje wprawdzie światło dobre i spokojne, co jednak nie może dać wystarczającej rekompensaty za niepokój ścian względnie stropu.

Rozumie się, że pomimo zastrzeżeń co do nadmiaru światła, mogą się zupełnie pogodzić z duchem skupienia i koncentracji żywe obecnie tendencje stosowania okien bardzo dużych, zajmujących prawie całe ściany — rzecz zresztą bynajmniej nie nowa, bo stosowana skutecznie w innej formie w starym fran-

cuskim gotyku. Koniecznością jest jedynie, aby owe ściany szklane nie schodziły zbyt nisko, a postulatem, aby sanktuarium otrzymywało silniejszy akcent, jako miejsce najdostojniejsze, przez żywsze oświetlenie. Uzyskać to można przez odpowiednie tonowanie barwy okien.

Okna barwne prowadzą do zagadnienia odrębnego, tj. do witraży. Obszerne to zagadnienie nie da się omówić w ramach niniejszego artykułu. Ale postawić można pewne naczelne, płynące z zasady celowości, reguły:

1. Niecelowymi są okna-witraże, które zaciemniają. Stąd postulat szkła barwnego, a unikanie nieprzejrzystej farby na szkle.

2. Witraż jest czynnikiem niepożądanym, jeżeli jego istnienie narzuca się widzowi ze szkodą dla prymatu ołtarza i jego otoczenia.

3. Wprowadzane do wnętrza świątyni światło nie powinno nigdy wywoływać wrażenia niepokoju, krzykliwego natręctwa, lecz umiaru i dostojeństwa, jednym słowem ułatwiać skupienie.

4. Barwa okien uzależnia zabarwienie i nastrój wnętrza. Musi ona być z góry ustalona przy planowaniu wnętrza kościoła i to pod kierownictwem architekta planującego całość, równocześnie z ustaleniem barw wnętrza, materiałów, a tym bardziej obrazów.

Oprócz naturalnego światła słonecznego potrzebne jest wewnątrz kościoła oświetlenie sztuczne. Podobnie jak okna, tak samo i żarówki muszą być tak umieszczone, aby oświecały, a nie oślepiały. Dalej, jak naturalne światło dzienne, tak i oświetlenie sztuczne winno płynąć przede wszystkim z góry. Oświetlenie z dołu jest zasadniczo wadliwe, choć może dać efekty bardzo silne i „ciekawe", ale ogółem biorąc nie będzie nigdy tak dostojne i spokojne jak oświetlenie górne.

Oświetlanie reflektorami może dawać wyniki zupełnie dodatnie, o ile źródło światła pozostanie w miarę możności ukryte, oraz jeżeli twarde światło elektryczne zostanie rozbite za pomocą odpowiednich soczewek względnie filtrów, aby upodobnić się do spokojnego światła słonecznego, którego promienie ulegają rozbiciu, przechodząc przez atmosferę.

Na marginesie dodajmy, że nareszcie winniśmy zaprzestać montowania w żyrandole i świeczniki w kościele — o światłach na ołtarzu mówię osobno — tzw. świec elektrycznych i zastosować wymaganą w świątyni Pańskiej szczerość i prawdę. Albo

mamy świeczniki przeznaczone na świece i wtedy używamy świec, albo mamy żyrandole komponowane na żarówki i wtedy używamy tychże.

Jarmarcznym efektem świetlnym jest stosowanie w kościele lampek kolorowych. Ten niewybredny smak i brak poczucia godności w kulcie należy kategorycznie potępić.

Jak już zaznaczyłem poprzednio, najważniejszą częścią świątyni jest sanktuarium z ołtarzem, dzisiaj ogólnie zwane prezbiterium, chociaż zasadniczo pojęcia te się nie pokrywają. Prymat dostojeństwa prezbiterium w świątyni musi być odpowiednio wypowiedziany, a więc wyższym poziomem, odmiennym ubarwieniem czy też bogatszym wyposażeniem, obfitszym światłem, wreszcie odgrodzeniem od nawy przeznaczonej dla wiernych. Prezbiterium winno pociągać oko każdego wchodzącego do świątyni i każdemu mówić, że to jest część najważniejsza i najdostojniejsza, że to jest miejsce sprawowania ofiary. Pierwszy postulat, to łatwa widzialność prezbiterium i spełnianych tam funkcji liturgicznych, a więc konsekwentne podwyższenie płaszczyzny prezbiterium do wysokości, którą dyktuje długość i pojemność naw i znajdujących się tam ławek czy krzeseł i ludzi. Celowość w planowaniu prezbiterium domaga się również odpowiednich jego wymiarów poziomych. Musi ono zmieścić bez przykrego stłoczenia szereg sprzętów, z których każdy ma swoje określone przeznaczenie i miejsce. Dla przeciętnego kościoła nie jest za wiele głębokość prezbiterium, wynosząca 8 m, a szerokość 9—10 m.

Nasze kościoły cierpią na ogół na zatłoczenie sprzętami o znaczeniu drugorzędnym, a prezbiteria na zagracenie. Pamiętać należy, że im mniejsza jest w pewnej przestrzeni ilość sprzętów, tym bardziej poszczególne z nich przykuwają wzrok. Najważniejszym zaś sprzętem, na który mają być zwrócone oczy i uwaga wiernych, to ołtarz ofiarny, któremu inne sprzęty nie powinny robić konkurencji.

Nie stoi nic na przeszkodzie, owszem przemawia za tym szereg przyczyn, aby prezbiterium było nie tylko nie węższe i niższe, ale szersze i wyższe od nawy głównej. Szerokość daje możność spokojnego rozwijania bogatych nawet funkcji liturgicznych, uwydatnia ołtarz stojący w szerokiej przestrzeni, a wysokość podkreśla nawet na zewnątrz kościoła znaczenie jego najważniejszej części i wreszcie umożliwia wprowadzenie do prezbiterium najbardziej pożądanego światła górnego i tylnego ponad dachem nawy.

Rubryki pozytywnie zastrzegają prezbiterium wyłącznie dla liturgów. Niedopuszczalnym nadużyciem jest więc nie tylko umożliwianie wiernym stałego tam przebywania, ale też dostęp dla nich do zakrystii jedynie przez prezbiterium. Koniecznym postulatem jest dostęp do zakrystii wprost z wnętrza kościoła.

Warunkiem i celem wzniesienia kościoła i jego najważniejszym i najdostojniejszym sprzętem liturgicznym jest ołtarz. Ma stać w świątyni w części najdostojniejszej, dostępnej tylko sługom ołtarza, odgrodzony od ogółu wiernych. Poprzednie wszystkie postulaty, wysuwane dla prezbiterium, są podyktowane istnieniem i dobrą widzialnością ołtarza i funkcji liturgicznych przy nim Szczególnie dobra widzialność ołtarza, a także ściślejszy udział wiernych w liturgii, domagają się w odpowiednich warunkach ustawienia ołtarza jak najbliżej wiernych i w kierunku do nich. Współczesny ruch liturgiczny wprowadził to już z dobrym wynikiem na Zachodzie, a u nas stosują to Benedyktyni w Tyńcu.

O ile każdy kościół musi posiadać ołtarz, to nie każdy musi posiadać ich kilka. Liczba ołtarzy w nowo projektowanej świątyni winna być dyktowana istotną potrzebą bieżącą, ale możliwości winny być obliczone niejako na wyrost. Świątynia ma stać przez wieki, które mogą przynieść nowe zapotrzebowanie płynące z życia Kościoła. Archeologizmem, potępionym przez encyklikę „Mediator Dei”, jest chęć usunięcia za wszelką cenę ołtarzy bocznych. Ale konieczność większej liczby ołtarzy istnieje rzeczywiście jedynie tam, gdzie jest potrzeba odprawiania równocześnie większej liczby Mszy św. W zwykłych kościołach wiejskich tej potrzeby z pewnością nie ma, ołtarz mszalny, liturgiczny, ofiarny wystarczy przeważnie jeden, a dla zaspokojenia prywatnego nabożeństwa i zamiłowania wiernych, wystarczą dyskretne, nie konkurujące z ołtarzem figury lub obrazy. Jedyność ołtarza w kościele nie jest bynajmniej rzeczą drugorzędną. Wyraża ona nie tylko jedność żertwy i ofiarnika, ale i jedną z charakterystycznych cech Kościoła. Tam, gdzie zajdzie istotna potrzeba posiadania ołtarzy bocznych, da się ta cecha jedności lub, jak ją w czwartym wieku nazwano „jednorodzoności” (monogenes) ołtarza, uratować przynajmniej wzrokowo i słuchowo przez odpowiednie ukrycie ołtarzy bocznych przed wzrokiem i słuchem ogółu wiernych w nawie.

Celowość ołtarza domaga się przede wszystkim odpowiednich wymiarów. Mensa zbyt płytka w głąb uniemożliwia odpowiednie ustawienie sprzętów liturgicznych mających się na niej mieścić. Szerokość mensy w poprzek musi być wystarczającą,

aby ruchy liturga, zmiana jego miejsca przy ołtarzu, były łatwo dostrzegalne i rozróżniane przez patrzących na nie z odległej nawy. Nadto liczyć się trzeba przy ołtarzu nawy głównej z asystą celebransa, która według rubryk musi czasem zajmować miejsce wzdłuż szerokości mensy. W praktyce więc mensa winna mieć około 1 m wysokości, nie mniej jak 2,50 m szerokości, 0,60—0,70 m. głębokości używalnej.

Godność umiejscowienia ołtarza niewątpliwie cierpi wzrokowo, jeżeli ołtarz jest przyklejony do ściany. Przemawiają za tym jeszcze względy praktyczne. Nie wolno więc mensy ołtarzowej, nawet przy bocznych ołtarzach, wtłaczać we framugi ściany czy nastawy, a nadto pamiętać o wolnej przestrzeni z obu boków dla lewitów, przestrzeni, którą tak często zastawia się tzw. ozdobami.

Widzialność ołtarza domaga się nie tylko aby miał odpowiednie wymiary, był odpowiednio oświetlony, ale też aby stał odpowiednio wysoko. Suppedaneum musi być tak głębokie, aby można na nim swobodnie przyklękać, a było wzniesione ponad poziom prezbiterium, przy czym liczba stopni winna być zawsze nieparzysta.

Jest rzeczą wielkiej wagi. aby projektujący lub zdobiący ołtarz mieli ustalone pojęcie, że istota ołtarza to stół ofiarny. Wszystko inne to nieistotne, choć niekiedy niezbędne dodatki, a co jest ponad to, jest błędem. Zrodzona z ducha wiary i tradycji Kościoła myśl liturgiczna musi domagać się przywrócenia mensie ołtarzowej stanowiska dominującego. Osiągać to można pozytywnie przez łagodne kontrasty z otoczeniem, jak poziom, światło, przestrzeń, barwa, materiał, negatywnie przez zredukowanie akcesoriów ołtarza do ich właściwej, podrzędnej roli. Weźmy kolejno kilka z nich:

1. Retabulum (nastawa ołtarza) nie jest niezbędnym akcesorium ołtarza, natomiast dominuje nad mensą i redukuje wymiarowo i wzrokowo ołtarz do roli podrzędnej. Sztuka liturgiczna i starożytna, i nowożytna zna ołtarze zupełnie bez balastu obrazów i figur. Jeżeli są one jednak konieczne, to wskazanym by było odciążenie od nich mensy ołtarza i przeniesienie ich na ścianę za ołtarzem. Tam monumentalne malarstwo i rzeźba mają piękne pole do popisu.

2. Gradus pod świeczniki jest rzeczą nieistotną a obciążającą ołtarz. Nie potrzeba go pod świeczniki jako podwyższenie, jeżeli same są dość wysokie i dostosowane do wysokości krzyża ołtarzowego. Nie potrzeba ich pod kwiaty, bo doniczki i wazony winny mieć osobne podstawki, zabezpieczające ołtarz od szko-

dliwego działania wilgoci. Nadto zdarza się, że gradusy rosnące niepomiernie wzwyż i w liczbę w niektórych nieudanych kompozycjach ołtarzowych, nie tylko umniejszają wzrokowe działanie mensy, ale nieprzyjemnie i nienaturalnie zaciskają tabernakulum.

Obok tych zbędnych akcesoriów ołtarza istnieją jeszcze inne, których umieszczanie na lub prawie na ołtarzu domagają się rubryki, przynajmniej w czasie odnośnej funkcji liturgicznej:

1. Krzyż ołtarzowy, z wizerunkiem Ukrzyżowanego. Jako najważniejszy sprzęt na ołtarzu ma zwracać na siebie uwagę, ma więc posiadać odpowiednie do otoczenia wymiary wszerz i wzwyż, mieć odróżniającą od tła barwę czy materiał. Nie stoi nic na przeszkodzie, aby go nie ustawiać bezpośrednio na mensie ołtarza, lecz zawieszać nad ołtarzem lub za ołtarzem, byleby moralnie należał do całości ołtarza. Nie musi być rzeźbą, może być obrazem w jakiejkolwiek technice. Szeroko tolerowanym ustawicznie nadużyciem jest mnożenie krzyżów i wizerunków Ukrzyżowanego na tym samym ołtarzu, które wydaje się iść w parze z ich złą widzialnością.

2. Świeczniki ze świecami woskowymi lub zastępczymi, nie zaś elektrycznymi, w liczbie 2 względnie 6. Aglomeracja świeczników staje się często zamiast ozdoby istnym balastem ołtarza.

Oprócz zbytniej ilości, świeczniki mogą szkodzić ołtarzowi swą dysproporcją, zwłaszcza w stosunku do krzyża, a więc za małe, za wysokie, wreszcie za szerokie. Dysproporcją mogą grzeszyć też świece zbyt grube i wysokie w stosunku do podtrzymujących je świeczników. Grzechem są obrazki malowane na świecach.

Nagminną bolączką są świece elektryczne, których inwazja na ołtarze jest dzisiaj faktem niezaprzeczalnym. Znacznie gorzej, jeżeli osadzą się w świecznikach już nie względnie skromne świece elektryczne, lecz ogromne drewniane drągi lub blaszane rury, pięknie lakierowane, usiłujące kłamać, że są liturgicznym oświetleniem ołtarza. Postulatem liturgicznym jest, aby kompetentne władze kościelne usunęły to nadużycie, a nakazały racjonalne oświetlenie całości ołtarza, ale albo wyłącznie liturgicznym światłem na ołtarzu, albo nieliturgicznym poza ołtarzem.

3. Tablice kanonowe bardzo często mijają się ze swoim celem, jakim jest zabezpieczenie liturga przed zawodzącą pamięcią. Celem ich jest więc nie ozdoba ołtarza, lecz pomoc w odprawianiu liturgii. Tymczasem powierzchnia ich często wykorzystana jest i to w większej części dla ozdób, marginesów,

do czego dochodzą ogromne ramy, a tekst liturgiczny jest traktowany jako rzecz drugorzędna i często wykonana drobnym drukiem, że swojemu celowi służyć nie może. Celowość domaga się zredukowania wymiarów tablic, a za to doprowadzenia do łatwej czytelności tekstu.

4. Tabernakulum winno według obowiązujących dzisiaj przepisów stać zawsze na ołtarzu i to z reguły na ołtarzu głównym, ale zawsze tylko na jednym. Ulubione mnożenie tabernakulów jest zupełnie niecelowe i zaprzecza myśli powyższego przepisu.

Zrozumiałym jest, że winno ono być jak najpiękniejsze, ale nie jest zawsze celowym, jeżeli jest ono nieproporcjonalnie duże. Rozmiary jego winny się ograniczać do kubatury, która wygodnie pomieści naczynia eucharystyczne. Prymat wzrokowy i rozmiarowy należy się jednak zawsze ołtarzowi, ofiara ma pierwszeństwo przez rezerwacją.

5 Szaty ołtarza. Są nimi trzy lniane obrusy i ewentualnie antependium względnie antepedium, którego materiał nie jest przepisany, jednakowoż, jeżeli to jest tkanina, to pożądana jest barwa liturgiczna. Obrusy winny okrywać powierzchnię i boki mensy, nie zaś jej front. Stąd szerokie koronki nie są wskazane.

— — — — — — — — — — — —

Każdy parafialny kościół ma posiadać chrzcielnicę. Powaga pierwszego i najważniejszego sakramentu domaga się odpowiedniego otoczenia, osobnego spokojnego miejsca, jednym słowem osobnego baptisterium. Wiadomo, że myśl ta została w praktyce ubiegłych stuleci zaniedbana i zapomniana w znacznym stopniu i że najważniejszy i pierwszy sakrament został w praktyce zepchnięty niejako na drugi plan. W kierunku naprawienia, względnie usunięcia zaniedbań dawnych zrobiono u nas dotąd bardzo mało.

Według rubryk w Rituale Romanum winno być baptisterium normalnie złączone z kościołem, być blisko przedsionka, mieć kubaturę wystarczającą dla dogodnego wprowadzenia kapłana i jego ministranta, katechumena i jego rodziców chrzestnych. Starochrześcijański symbolizm rozumie północ jako krainę ciemności; ponieważ chrzest jest przejściem z nocy grzechu do światła łaski, więc najodpowiedniejszym symbolicznie dla baptisterium jest północna strona świątyni, do której to świątyni ochrzczeni otrzymują prawo wstępu i z niej idą ku światłu południa względnie wschodu. Dalej, ponieważ chrzest jest tym wejściem do Kościoła, więc baptisterium winno się znajdować jak najbliżej wejścia świątyni.

Chociaż piscyna do chrztu przez zanurzenie nie jest już dzisiaj bezwzględnie potrzebna, to jednak chrzcielnica w kształcie kielicha, stojącego na posadzce kościelnej, nigdy nie zastąpi piękna zwierciadła wody, położonego z natury swojej poniżej poziomu posadzki; poziomy wyższe muszą zawsze wywoływać wrażenie sztuczności. Może więc być rzeczą pożądaną umieszczenie w baptisterium nie chrzcielnicy lecz piscyny.

Nadto przez zstępowanie do poziomu niższego i wychodzenie zeń zachowałoby się symbolizm św. Pawła o zstępowaniu z Chrystusem Panem do grobu w akcie chrzcielnym i wychodzenie zeń z Nim do nowego życia.

— — — — — — — — — — — —

Z urzędem kapłańskim łączy się ściśle urząd nauczycielski. Kazalnica ma cele przede wszystkim praktyczne, w dziedzinie akustyki i optyki, stąd w małych kościołach jest ona w ogóle zbędna, bo wystarcza suppedaneum ołtarza o odpowiednim wzniesieniu. Natomiast, zwłaszcza w mniejszych świątyniach, warto by pomyśleć o powróceniu do wzorów wczesnego chrześcijaństwa, gdy kazalnica była organicznie związana z balustradą prezbiterium i wzrokowo nawet wyrażała swoją łączność z ołtarzem.

Dwie ambony liturgiczne rzadko gdzie będą potrzebne, i to tylko tam, gdzie mogą być wykorzystane dla dwóch odrębnych funkcji liturgicznych, tj. dla Lekcji i Ewangelii. Ale zawsze pamiętać trzeba, że ambona czy też ambony nie powinny swoim wyglądem rywalizować z ołtarzem.

— — — — — — — — — — — —

Ogółem w planowaniu naszych polskich kościołów nie są uwzględniane konfesjonały; po prostu stawia się je po wykonaniu kościoła tam, gdzie się zmieścić dadzą. Konfesjonał jest miejscem, gdzie się sprawuje sakrament najprzykrzejszy, a często najbardziej męczący fizycznie. Stąd postulat, aby był jak najwygodniejszy zarówno dla spowiednika jak penitenta. Miejsce zaciszne, ustronne, nie narzucające się wzrokowi ogółu, warunki akustyczne zabezpieczone, odpowiednia wentylacja, klęczenie i oparcie jak najswobodniejsze. Architektura Zachodu zna i stosuje praktyczne konfesjonały wsunięte w nisze ścienne.

— — — — — — — — — — — —

Oczywiście, że wyczerpanie tematu „Sztuka a Liturgia" wymagałoby opracowania znacznie głębszego i obszerniejszego; byłoby do omówienia całe, ogromne, a tak ważne zagadnienie malarstwa, rzeźby i ikonografii, przemysłu artystycznego w służbie liturgii. Cały ogromny temat paramentyki, naczyń

liturgicznych, kobierców kościelnych, wszystko to domagałoby się ujęcia zgoła znaczniejszego niż na to pozwalają szczupłe ramy niniejszego artykułu.

Kończąc, chciałbym zwrócić uwagę na to, co jako ogólną maksymę postawiłem na początku, że sztuka w służbie liturgii musi przede wszystkim kierować się dwoma naczelnymi zasadami, którymi są i pozostać muszą: celowość i prawo.

A zmysłem jakim będzie się powodował projektodawca musi być ów duch liturgiczny, musi być „Sentire cum Ecclesia".

Rządcy kościoła zaś, którym danym będzie objąć tak rozplanowaną i ozdobioną świątynię, muszą pamiętać o tym, że ich obowiązkiem i to nie zawsze łatwym, jest utrzymanie wzorowego stanu świątyni w znaczeniu liturgicznym i obronienie jej przed indywidualistyczną ingerencją źle rozumianej pobożności.

Kazimierz Lisiecki, Poznań

Konserwacja obrazów i rzeźb w naszych kościołach

Problem konserwacji dzieł sztuki, zwłaszcza zabytkowej w naszych kościołach, jest u nas wiecznie aktualnym zagadnieniem i wielką troską właśnie dlatego, że częste i nagłe zmiany klimatyczne, w których żyjemy, nie bardzo sprzyjają utrzymaniu dzieł sztuki w należytym stanie na dłuższy okres czasu. Stała opieka jest więc niezbędna, inaczej w krótkim czasie utracimy cenne pomniki i dokumenty naszej wspaniałej przeszłości kulturalnej.

W moim artykule nie zamierzam wykazać sposobów i recept konserwatorskich, gdyż należą one do fachowców. Pragnę natomiast zainteresowanych czytelników zorientować i zapoznać z tym tak ważnym zagadnieniem, oraz pobudzić i pogłębić ich poczucie wspólnej odpowiedzialności za całość tych żyjących pomników kultury, i tym samym powiększyć szeregi prawdziwych opiekunów i miłośników sztuki kościelnej.

Współczesna wiedza konserwatorska stoi na bardzo wysokim poziomie i stała się poważną dziedziną naukową, dysponując obszerną własną i obcą literaturą we wszystkich językach. Przy wyższych uczelniach sztuk plastycznych istnieją oddzielne katedry konserwatorskie, które szkolą nowe kadry przyszłych fachowców. — Podejmowane prace w tym kierunku

prowadzi się według najnowszych metod (np. ołtarz Wita Stwosza w Krakowie).

Wprawdzie wiecznej trwałości przez konserwację nie jest nikt w stanie dziełu sztuki zapewnić, można wszakże jego żywot znacznie przedłużyć. Nowe metody konserwatorskie zalecają obraz czy polichromowaną rzeźbę poddać ściślejszym badaniom pod lampą kwarcową. Ułatwia to dokładniejsze zbadanie składników farb znajdujących się na dziele sztuki. Prześwietlenie roentgenowskie ujawnia gruntowniej wszelkie ukryte tajniki w obrazie. Tą drogą wykrywa się sygnatury autora dzieła, demaskuje wszelkie przemalowania, dokonane przez niesumiennych restauratorów. Prześwietlenia takie wymagają największej ostrożności i umiejętności, w przeciwnym razie eksperyment źle przeprowadzony stać się może bardzo szkodliwym dla obrazu.

Restaurowane dzieło bez tych wstępnych badań i dociekań, celem wykrycia powodu zniszczenia, nie dadzą nigdy gwarancji stuprocentowej, że dzieło zostało dobrze odrestaurowane i należycie na przyszłość zabezpieczone. Powierzchowne oczyszczenie obrazu z brudu i ponowne powerniksowanie jego powierzchni, nie może uchodzić w pojęciu konserwatorskim za pracę dobrze przeprowadzoną. Dobry restaurator musi znać rzemiosło gruntownie od podstaw elementarnych. Ponadto winien znać budowę dzieła sztuki starszych szkół i różnych wieków. Restaurator musi być dobrym plastykiem i mieć łatwość przyswojenia sobie w razie potrzeby każdej techniki i kierunku dzieła, z jakim ma w danej chwili do czynienia. Restaurator musi posiadać gruntowną wiedzę fachową — bez niej może się stać wielkim szkodnikiem w tej dziedzinie. Restaurator winien wreszcie podchodzić do dzieła, które ma restaurować i wskrzesić z największym szacunkiem i z pewnym nabożeństwem. Ważnym czynnikiem u restauratora jest trzeźwość umysłu, cierpliwość i nieograniczony czas, dla przeprowadzenia zabiegu konserwatorskiego z pietyzmem.

Wykrycie przyczyn zniszczenia dzieła sztuki ułatwia fachowcowi pracę i pozwala na skuteczne zabezpieczenie dzieła na przyszłość po odrestaurowaniu. Przy cenniejszych obiektach sporządza się sumienny opis protokólarny, w którym wykazuje się stan dzieła przed zabiegiem konserwatorskim. Konieczne są również zdjęcia fotograficzne, dokonane przed restaurowaniem, w czasie pracy i po ukończeniu zabiegu konserwatorskiego. Protokóły z fotografiami są pierwszorzędnymi dokumentami,

które towarzyszą dziełom sztuki i ułatwią pracę w przyszłości w dalszym zabezpieczeniu zabytkowego obiektu.

Stary obraz czy rzeźbę należy traktować jako dokument, który nie może być dowolnie zmieniany i fałszowany nowymi elementami. Zasady konserwatorskie nakazują zachować, w miarę możności charakter starości restaurowanego dzieła sztuki. Błędnym pojęciem jest zrobić ze starego dzieła — nowe, kosztem usunięcia jego naturalnych cech starości.

Są to zasady kardynalne, o których winien wiedzieć i ściśle ich przestrzegać każdy restaurator, oddający się pracy konserwatorskiej zawodowo.

Względy kultu religijnego czynią w niektórych wypadkach pewne ustępstwa i pozwalają, w razie znaczniejszych i szczególnie rażących uszkodzeń na rekonstrukcję dzieła (o ile to koniecznym jest). Operacje takie mogą być dokonane jedynie za zgodą władz duchownych i konserwatorskich.

Główną przyczyną niszczenia dzieł sztuki są przeważnie nierówne i często niekorzystne warunki atmosferyczne. Dają się one we znaki przede wszystkim w naszych starszych świątyniach.

Dzieło sztuki wykonane na płótnie, na ścianie, czy w drzewie, nie znosi nagłych zmian atmosferycznych, a przede wszystkim — wilgoci. Szkodzą również nadmierne przeciągi i nagła susza, gdyż wówczas zarówno płótno jak i drzewo, a także tynk, rozsadzają się, tworząc na dziele malarskim siatkę pęknięć, a w rzeźbie rysy i szczeliny. Dzieła sztuki, o których mowa, znoszą jedynie temperaturę stałą i równą.

Wiszące obrazy olejne czy rzeźby nie powinny przylegać całkowicie do ściany, wąska przestrzeń między nimi a ścianą udostępnia normalną cyrkulację powietrza i zabezpiecza je przed wczesnym zniszczeniem.

W czasie mych licznych wędrówek po świątyniach spotykałem się niejednokrotnie z bardzo przykrymi i rażącymi wypadkami, które spowodowały wykreślenie raz na zawsze z naszego bogatego rejestru — niejednego dzieła sztuki kościelnej. Zdarzały się takie wypadki, gdzie dokonano bezlitosnej amputacji obrazu, który gwałtem przystosowano do otworu w ołtarzu. Rozwiązanie takie równa się wandalizmowi, należało raczej otwór ołtarza przystosować do obrazu. Jeżeli dany ołtarz jest dziełem sztuki, należy bezwzględnie odstąpić od takich zamiarów, a obraz zabezpieczyć w innym i odpowiedniejszym miejscu. W wypadku braku takiego miejsca, najlepszym rozwiązaniem jest oddać dzieło sztuki do Muzeum Diecezjalnego.

Bywały również remonty kościołów, gdzie przy tej okazji zamalowywano lub zatynkowano na ścianach rzekome „bohomazy", pochodzące z dawnych wieków. Tego rodzaju szkody dla sztuki wynikają przeważnie wtedy, gdy remont odbywa się bez wiedzy i bez ściślejszego kontaktu z władzami duchownymi i konserwatorskimi, a prace remontu prowadzone są przez niepowołanych do tego osobników.

Wielkie szkody na tym odcinku wyrządza często służba kościelna przez nieświadomość o właściwej wartości dzieł sztuki kościelnej, z którymi styka się bezpośrednio, zwłaszcza podczas generalnych porządków w kościele. Zagrożone są wówczas wszystkie wystające części dzieła rzeźbiarskiego, które przy tych okazjach giną przeważnie bezpowrotnie.

Silnie zagrożone są również tzw. ruchome obrazy w ołtarzach, często znajdujące się w spaczonych ramach. Poruszane nieostrożnie przez służbę kościelną za pomocą skrzypiącego i przestarzałego mechanizmu, ulegają systematycznemu zniszczeniu.

Reasumując to, co powiedziałem na temat konserwacji obrazów i rzeźb w naszych kościołach, dochodzimy w końcu do wniosku, że cała i wyłączna odpowiedzialność za stan tych dzieł sztuki, spoczywa (z urzędu i konieczności) na gospodarzu kościoła. Zasługą wielką wobec sztuki kościelnej i jej należytej konserwacji będzie poświęcenie nieco więcej uwagi na tym odcinku.

Ks. Chryzostom Małysiak, Salwatorianin, Kraków

Zalety kapłana

„Justitiam, constantiam, misericordiam, ceterasque virtutes in se ostendant, exemplo placeant"
(Pont. Rom. in Ord. Presb.)

1. Justitia.

Aby kapłan był *„vir justus"*, to wiele do tego potrzeba, ale sądzę, że przede wszystkim potrzeba dwóch rzeczy: celibatu i wstrzemięźliwości. Przez celibat podoba się kapłan Bogu, a wstrzemięźliwość pociąga do niego ludzi.

Salvian pisze: *„Clericis suis Salvator, non ut ceteris, voluntarium, sed imperativum officium perfectionis inducit."*[1]) Słyszymy więc o wezwaniu do życia sprawiedliwego, świętego,

[1]) Salvian lib. 2., de Eccl. Cath.

gdyż to jest ścisłym obowiązkiem kapłana i rozkazem Zbawiciela. Św. Tomasz z Villanova zaś twierdzi, że nie wystarczy kapłanowi pobożność, ani nawet tak bardzo potrzebna pokora, lecz że musi on zachować anielską cnotę i z nią ściśle złączony celibat. Święty Tomasz z Akwinu bowiem w swej sławnej Summa Theologica[2]) ostrzega, że w razie oddania się zmysłowości, następuje: *Caecitas mentis, incosideratio, praecipitatio, inconstantia, amor sui, odium Dei, affectus praesentis saeculi, et horror futuri.* A więc i kapłan, w razie upadku, straci smak do rzeczy bożych, będzie miał niechęć do spraw duchownych, będzie zamiłowany w rzeczach i rozkoszach doczesnych, a lękał się będzie przyszłości, lękał się będzie Sądu bożego.

Co do wstrzemięźliwości, to potrzebna ona jest tak we własnym usposobieniu, jak też i w stosunku do ludzi. Więc kapłan musi nad sobą panować. nie może nigdy wybuchnąć zdenerwowaniem i niecierpliwością, zwłaszcza jeżeli jest gwałtownego temperamentu, gdyż tego wymaga „vir justus". Przypomnijmy sobie w tym miejscu scenę z Apostołami, Jakubem i Janem, późniejszymi apostołami miłości, jak chcieli, by Pan Jezus spalił miasteczko samarytańskie za to, że Go nie chciało przyjąć. *„Panie, chcesz, powiemy, żeby ogień zstąpił z nieba i spalił ich?'* — powiedzieli. *„A obróciwszy się, zganił ich, mówiąc: Nie wiecie, czyjego ducha jesteście. Syn człowieczy nie przyszedł gubić dusze, ale je zbawiać"*[3]). Nazwał ich też Pan Jezus filii tonitrui — synowie gromu[4]). Więc kapłan nie może być człowiekiem porywczym, gwałtownym, lecz wnikając w ducha Zbawiciela, powinien być łagodnym, wyrozumiałym, pełnym miłości i miłosierdzia.

Potrzebna też jest wstrzemięźliwość w stosunku do ludzi, a nawet i do ukochanej rodziny. Już samo prawo celibatu wskazuje, że życzeniem Kościoła jest, aby kapłan nie obarczał się rodziną. Jeżeli bowiem nie wolno mu mieć swego ogniska rodzinnego, tj. żony i dzieci, aby mógł swobodniej i gorliwiej poświęcić się pracy nad zbawieniem duszy własnej i bliźnich, to nie jest także rzeczą godną polecenia, żeby obarczał się krewnymi, choćby najbliższymi. Inaczej troski rodzinne tak go pochłoną i przycisną, że minie się ze swym powołaniem, stanie się niezdolnym do jego spełniania, a nawet utrudni sobie ogromnie życie z tej prostej przyczyny, że weźmie na siebie

---

[2]) Summa Theologica II-a II-ae q. 153. a. 5.
[3]) Łuk. 9, 54—56.
[4]) Mar. 3. 17.

wszystkie ciężary życia rodzinnego bez jego pociech, i łatwo się zniechęci, rozstroi i zrazi do wszystkiego.

Dawałem rekolekcje w dużym mieście i dużej parafii. Ks. Proboszcz, to kapłan pełen poświęcenia i zapału, pełen gorliwości. Dziwił się jednak, czemu parafianie nie mają do niego zaufania i czemu zrobią mu czasem przykrość? — Zauważyłem pewien nietakt na plebanii, spowodowany zbytnią miłością księdza do rodziny. Już wiedziałem wszystko! Parafianie wiedzą dobrze, co się na plebanii dzieje. Wszystko podpatrzą i podsłyszą. Proboszcz zacny, ale ulegający rodzinie, skąd też pochodzi uprzedzenie parafian do duszpasterza. A więc trzeba wstrzemięźliwości!

2. M i s e r i c o r d i a.

Kiedy w północnej Francji dawałem misje wraz z drugim kapłanem dla naszych rodaków, w jednej z nich, w czasie obiadu, przyszedł listonosz. Ks. Proboszcz wyszedł załatwić pocztę. Za chwilę wraca i mówi: „*Kiedy po odebraniu poczty poczęstowałem listonosza cygarem i kieliszkiem wina, a przy tym kilka serdecznych słów z nim zamieniłem, on na to: Ej, Proboszczu, gdyby to tak nasi francuscy księża z ludźmi pogadali i serce im okazali, to inny byłby katolicyzm we Francji!*” Dużośmy na ten temat potem rozmawiali i jak to dobrze, że spełniamy uczynki miłosierdzia tak co do ciała, jak też i co do duszy. To też jest właśnie z naszej strony „*misericordia*”!

Dzisiejsza nowoczesna literatura katolicka, tak u nas, jak też i za granicą, interesuje się życiem i pracą kapłanów katolickich, dlatego w postaciach księży znacznie uwzględnia miłosierdzie duchownych osób, lub też brak tej cnoty. Toteż warto przeczytać: „Pamiętniki proboszcza wiejskiego” — Bernanos'a; „Chwała córy królewskiej” — Marshall'a; „Zbuntowany” — Wiktora; „Konfesjonał” — Grabskiego; „Tajemnica spowiedzi” — Spillmann'a i inne.

Ponieważ już w Starym Zakonie narzekał Bóg na brak miłosierdzia u kapłanów, więc zwróćmy uwagę na słowa Ezechiela proroka, który pisze: „*Vae pastoribus Israel, qui pascebant semetipsos! Nonne greges a pastoribus pascuntur? Lac comedebatis et lanis operiebamini et quod crassum erat occidebatis, gregem autem meum non pascebatis; quod infirmum fuit non consolidastis et quod aegrotum non sanastis, quod confractum est non alligastis et quod abjectum est non reduxistis et quod perierat non quaesistis, sed cum austeritate imperabastis eis et cum potantia. — Et dispersae sunt oves meae, eo quod non esset pastor... dispersi sunt greges mei, et non erat,*

qui requireret... propterea, pastores, audite verbum Domini... requiram gregem meum de manu eorum et cessare faciam eos, ut ultra non pascant gregem, nec pascant amplius pastores semetipsos, et liberabo gregem meum de ore eorum, et non erit ultra eis in escam."[5]) Bardzo surowa nagana za brak tej „misericordia", tak koniecznej w duszpasterstwie, ale czyż i u kogoś z kapłanów Nowego Zakonu nie braknie czasem tej „misericordia"? Wszak św. Paweł Apostoł znów pisze: *„Wszyscy bowiem szukają, co ich jest, nie co Jezusa Chrystusa."*[6])

3. Exemplum.

Wielką wartość apostolską ma u kapłana jego dobry przykład. Wiemy, że nie tyle słowa, choć najuczeńsze i najwymowniejsze, podziałają na ludzi, ile raczej dobry przykład. Dlatego Kościół św. żąda dobrego przykładu od kapłana już przy jego święceniach: *„Exemplo placeant"*. Stary Seneka przecież na dobry przykład zwrócił szczególną uwagę w słowach: *„Longum iter per praecepta, breve et efficax per exempla"*. A przysłowie łacińskie mówi: *„Verba docent, exempla trahunt"*.

Święty Augustyn żąda od kapłana dobrego przykładu, gdy pisze: *„Quorum vita aliorum debet esse salutis praedicatio"*. A więc dobre życie kapłanów ma być ustawicznym kazaniem dla wiernych. W innym miejscu znów ten sam Święty domaga się dobrej opinii kapłana u ludzi, twierdząc, że własne czyste sumienie kapłana nie wystarczy, lecz że dla zbawienia dusz potrzebna jest jego dobra opinia. *„Conscientia necessaria est tibi, fama proximo tuo; qui fidens conscientiae suae negligit famam suam, crudelis est."*[7])

Toteż i Prawo Kościelne w 124 kanonie daje nam zachętę w słowach: *„Clerici debent sanctiorem prae laicis vitam interiorem et exteriorem ducere eisque virtute et recte factis in exemplum excellere."* A więc mamy w kapłaństwie naszym doskonalsze niż świeckie osoby wieść życie, i przykład im dawać tak życiem wewnętrznym, a więc pobożnością naszą, jak też i zewnętrznym działaniem.

4. Ceterae virtutes.

Weźmy jeszcze pod uwagę inne ważne cnoty i zalety kapłana.

a) Sentire cum Ecclesia.

Duch Święty czuwa nad Kościołem i nad Papieżem. Dar nieomylności naszej Matki i Głowy Kościoła strzeże nas od błędów,

---

[5]) Ezech. cap. 34, 1...
[6]) Filip. 2, 21.
[7]) S. Aug. in quaest.

od niewiary. Człowiek może się mylić, Bóg nigdy. Więc zawsze mówmy: Roma locuta, causa finita. Ale skoro Kościół nauczający jest Institutio divino — humana, więc w sprawach, dotyczących Objawienia i dogmatów, jest nieomylny i stały, zaś w sprawach, odnoszących się do karności kościelnej, nieraz zmienia swoje przepisy i prawa. I tak np. w nowym Prawie Kościelnym skraca liczbę przeszkód małżeńskich (przy consanguinitas ad tertium gradum, a przy affinitas ad secundum), choć dotychczas było inaczej; to znów nie pozwala przełożonym żądać sprawozdań duchownych od podwładnych, albo przeszkadzać w szukaniu odpowiedniego spowiednika w razie potrzeby duszy; także nie pozwala magistrom nowicjatów zakonnych spowiadać swych nowicjuszów, choć dawniej mieli obowiązek u magistra odbyć spowiedź. Może który z papieży ograniczy kiedyś liczbę cenzur, liczbę kar kościelnych. Kościół święty ma do tego władzę i my możemy mieć co do takich rzeczy swoje zdanie. Ale przecież nawet i wtenczas, gdy Ojciec święty czy Biskupi dają jakieś wskazówki czy polecenia, trzeba „sentire cum Ecclesia".

b) Scientia.

Kapłan musi do swej pobożności dołączyć naukę, wiedzę. Dlatego to papież Pius XI wydał Encyklikę „*Deus Scientiarum Dominus*" i kazał studium kleryków rozciągnąć na 6 lat (2 lata filozofii i 4 teologii). I to nie jest wcale za dużo. Trzeba jednak uważać, by tak bardzo potrzebna nauka i wiedza, nie wzbiły kapłana w pychę, gdyż według św. Pawła Apostoła, „*scientia inflat*".

Św Bernard tak o tym pisze: „*Sunt qui scire volunt eo fine tantum, ut sciantur; turpis vanitas est; sunt qui scire volunt, ut scientiam vendant, et turpis quaestus est; sunt quoque qui scire volunt, ut aedificent, et charitas est; et item qui scire volunt, ut aedificentur, et prudentia est.*" Więc jeżeli kapłan szuka wiedzy na to, by błyszczeć i by się wywyższać, to według św. Bernarda, taki cel zdobywania wiedzy, jest wstrętną marnością. Ale zdobywanie wiedzy dla pouczenia innych, jest miłością; zaś pragnienie wiedzy dla własnej korzyści, jest roztropnością. Może tu i ówdzie nawet osoby duchowne za bardzo gonią za górnolotnymi słowami i okresami, za tymi frapującymi i koszmarnymi wyrażeniami. A przecież Zbawiciel nasz podawał najgłębszą wiedzę i naukę w tak bardzo przystępnych i zrozumiałych słowach, w przypowieściach i podobieństwach. A przecież tak wiedza, jak i wymowa, służyć mają najważniejszemu celowi, a nim jest zbawienie dusz.

c) Labor.

Jeżeli ludzie świeccy intensywnie pracują dla dobra doczesnego, to czyż kapłani nie powinni jeszcze intensywniej pracować dla dobra wiecznego? Niektórzy Święci wątpią o zbawieniu kapłana, który nie pracuje gorliwie w służbie bożej. Czyż wobec tego nie trzeba kapłanom oddać się pracy z wysiłkiem zawsze i wszędzie?

d) Pietas.

Z pracą kapłana musi się ściśle łączyć jego pobożność. Wszak kapłan ma być osobą naprawdę duchowną, ma być dla parafian Ojcem duchownym. Więc powinien wieść życie nie tylko pracy, lecz jeszcze więcej, modlitwy. Tylko wtenczas będzie duszpasterzem doskonałym i apostolskim. Jeżeli pisarz francuski, Leon Bloy, żąda od świeckich katolików świętości, to cóż dopiero mówić o kapłanach, których św. Jan Chryzostom nazywa zbawicielami świata?! Toteż budującym był pierwszy list pasterski nowego Prymasa Polski, J. E. Ks. Arcybiskupa Wyszyńskiego, kiedy w nim wyraźnie zaznaczył, że nie jest ani dyplomatą, ani politykiem, tylko duszpasterzem.

e) Bonitas.

Kapłan powinien się trzymać tej zasady, która poleca, by nigdy nie kierować się surowością, lecz zawsze i wszędzie dobrocią. Nawet stanowczość niech będzie użyta w swoim czasie, by była chętnie i mile przyjęta.

W konstytucjach naszych zakonnych, w artykule 629 czytamy o tym, jakimi mają być przełożeni i jak mają postępować. „*Każdy z przełożonych powinien mieć przed oczyma upomnienie Soboru Trydenckiego; Niech Biskupi i Ordynariusze pamiętają, że są pasterzami... że tak powinni przewodniczyć podwładnym, nie ażeby nad nimi panowali, ale ich jako synów i braci miłowali, aby nie byli zmuszeni ich karać odpowiednimi karami w razie wykroczenia, jeśliby jednak w czymś zgrzeszyli wskutek ułomności ludzkiej, niech zachowują polecenia Apostoła, aby ich upominali, zaklinali, karcili z wielką miłością i cierpliwością, ponieważ często na przestępców więcej działa dobroć aniżeli surowość, więcej upomnienie niż groźba, więcej miłość niż siła; jeśliby jednak z powodu wielkości występku potrzeba było karać, wtedy należy połączyć z dobrocią stanowczość, z miłosierdziem sprawiedliwość, z łagodnością surowość, a upomnieni, aby się poprawili, albo gdyby się nie chcieli opamiętać, ażeby przykład zbawienny wymierzonej im kary odstraszył innych od występków.*”

Zakończenie.

Aby zaś zachęcić się do zdobywania cnót i zalet kapłańskich, pamiętajmy o tym, że kapłan — według św. Hieronima — na barkach swej świętości dźwiga ciężar obowiązków i odpowiedzialności za wielu. Wszak Mszę św. codziennie ofiaruje za świat cały i modli się za wszystkich. „Sacerdos onus totius orbis portat humeris sanctitatis."

Toteż św. Jan Chryzostom tak pisze: „*Kapłan winien być świętym, iżby mógł służyć innym za wzór świętości; albowiem Pan Bóg dlatego ustanowił kapłanów na ziemi, aby żyli jak aniołowie, aby byli światłem i przykładem dla innych ludzi.*"[8])

Ks. Lesław Jeżowski, Chorzów

Kapłani i kultura

Ciekawe wyniki dałaby ankieta przeprowadzona wśród wiernych na temat: co sobie najwięcej cenię w księdzu? Byłaby ona materiałem dowodowym na bardzo charakterystyczne czasami podejście człowieka świeckiego do kapłana i wykazałaby, jak ludzie patrzą na duszpasterza. Wypowiedzi w ankiecie byłyby uzależnione od środowiska biorących w niej udział, od wykonywanego zawodu, od poziomu umysłowego, a także od miejsca zamieszkania. Pewne bowiem dzielnice mają swoiste kryteria w odniesieniu do kapłana, które ciężko byłoby znaleźć gdzie indziej. Ale prawdopodobnie wierni większej części Polski byliby zgodni z tym, że cenią sobie w kapłanie jego osobistą kulturę. Przez słowo kultura nie rozumieliby zapewne ścisłej treści tego pojęcia, ale braliby je szeroko, włączając w nie sporą część tego, co zaliczamy do cywilizacji, do form towarzyskich, czy też do żwykłych grzecznościowych zwyczajów. Tak pojęta kultura kapłana bardzo się podoba człowiekowi świeckiemu. Obojętnie na jakim stopniu kulturalnym sam by się znajdował. Najwyżej jednemu będzie sympatyczna, a drugiemu będzie również imponować.

Ile to się słyszy nieraz pochwał, wyrażanych w superlatywach o kulturalnym księdzu. Jeżeli trzeba komuś jakiejś porady duchowej, spieszy do kapłana, o którym wie, że pomówi z nim spokojnie, wyrozumiale, że nie będzie robił wielkich oczu na skomplikowane i trudne problemy wewnętrzne. Po rozwikłaniu jakiegoś zagadnienia i po otrzymaniu praktycznej rady,

---

[8]) Hom. 10. in Tim. 3.

świecki człowiek wraca zadowolony z rozmowy z kapłanem i mówi znajomym: Wiesz, to naprawdę życiowy, kuluturalny ksiądz. Pierwszorzędny materiał na duszpasterza.

Tam znowu, na zapadłej prowincji, wieśniak jedzie na plebanię zamówić pogrzeb. Wolałby wysłać kogoś innego, ale jakoś nie składało się. Nie chciał iechać sam, bo wiadomo, jak tamten proboszcz odnosił się do chłopów. Co najmniej, jak dawniej ekonom do folwarcznej służby. A to przecież dziś nie dawne czasy. Każdy człowiek, chociażby najuboższy, wie o swej wartości i godności i nie pozwoli sobą pomiatać. Jeżeli chodzi o niego, to pracą społeczną zdobył sobie uznanie wsi, w mieście go szanują, więc jeżeli nowy proboszcz będzie taki, jak zmarły, to krzywo będzie na niego patrzył i potraktuje go po swojemu. Na plebanii nowy proboszcz wita swego parafianina uprzejmie, prosi go, aby usiadł, traktuje przyjaźnie, a nawet gdy dowiedział się z jak daleka przyjechał w taką pogodę, częstuje szklanką herbaty. Bardzo grzeczny ten nowy pro-iak odnosili się do nas rozmaici kapłani.

Wydaje mi się, że nie ma potrzeby mnożenia przykładów reagowania wiernych na osobiste przymioty kapłana. Znamy ich wiele z własnego życia, a szczególnie z lat młodzieńczych, gdyśmy jeszcze nie byli księżmi, i tak bardzo odczuwaliśmy, jak odnosili się do nas rozmaici kapłani.

Kościół, wiedząc jak cennym przymiotem kapłana jest jego kultura, dba o to, by w seminarium wszczepić ją, czy też rozwinąć u kandydata do stanu duchownego. Zmierzają do tego rozmaite zajęcia i wykłady pozateologiczne, dobór książek w bibliotece seminarialnej, a czasopism w czytelni. Z takim początkowym kulturalnym zasobem młody ksiądz idzie między ludzi, by pełnić swoje duchowe posłannictwo. I teraz można by podzielić wszystkich duszpasterzy na dwie grupy. Do jednej dałoby się zaszeregować tych, dla których chwila opuszczenia seminarium nie jest kresem stykania się z przejawami kultury, lecz przeciwnie, może jest wstępem do rozwijania i pogłębiania swoich zainteresowań. Drugą grupę tworzą księża, którzy zamknąwszy za sobą drzwi i bramy seminarium odgrodzili się zarazem od tego wszystkiego, co nie jest księgą z kancelarii parafialnej, rytuałem, mszałem i brewiarzem.

Przyjrzyjmy się trochę pierwszym. Jedną z czynności, której dokonali na nowym wikariacie, było zamówienie czasopism. I tych, jakie czytywali w seminarium, i innych. Odtąd do najprzyjemniejszych godzin zaliczają te, w których mogą zapoznawać się z treścią otrzymywanej od listonosza prasy. Gdy są

w księgarni, biorą chciwie do ręki wyłożone tomy i często wychodzą z niej z zapakowaną paczuszką w ręce. Biblioteka tych księży powiększa się. Są w niej dzieła teologiczne i obok nich książki z innych dziedzin wiedzy, a kurz nie ma czasu, aby na nich osiąść. Kapłan z grupy pierwszej nie patrzy bezmyślnie na kalendarz. Wie nie tylko o tym, że żyje po Chrystusie, ale zdaje sobie sprawę z obecnego wieku i roku. A co za tym idzie, zna zagadnienia i warunki, w jakich wypadło mu być sługą bożym. Pamięta, że chociaż szczytowy punkt rozwoju myśli teologicznej przypada na wiek XIII, to jednak teologia od tego czasu nie skostniała, ale wciąż się rozwija, a obok niej powstały nowe gałęzie wiedzy, których wprawdzie średniowieczni uczeni, nawet na miarę św. Tomasza, nie znali, ale wypada, aby znał je dwudziestowieczny kapłan, chociażby na miarę katechety w wiejskiej szkole podstawowej. Kapłan, może nazwijmy go sobie dla uniknięcia wielosłownych opisów — kulturalnym, znajdzie zawsze czas i ochotę, by pojechać, a to na jakiś kurs duszpasterski, a to na okolicznościowy zjazd duchowieństwa, na konferencję, wykład, na spotkanie z kimś wybitnym i swoje wrażenia dobrze przetrawi, aby móc później służyć nimi innym. Kulturalny kapłan lubi posłuchać i dobrego świeckiego prelegenta. Do człowieka nie przemawiają wyłącznie ludzie. Czasem nawet lepiej od nich potrafi mówić krajobraz, architektura, rzeźba, malarstwo. Nie zawsze ma się to na miejscu, lecz prawie zawsze można sobie od czasu do czasu zrobić przejażdżkę, aby nie tylko coś posłuchać, ale i zobaczyć. Przeżycia wzrokowe bywają trwalsze.

Warto parę zdań poświęcić z kolei kulturalnej rozrywce. Wydaje się mi, że na tym polu najmocniej występuje różnica między dwiema grupami księży, o których traktuje ten artykuł. Pierwsza grupa nie będzie uznawała rozrywki, która nie byłaby kulturalna, druga natomiast będzie miała takie rozrywki za nic. Znamienną cechą kulturalnej rozrywki jest to, że równocześnie kształci. I dlatego człowiek pracujący umysłowo i przekonany o wartości każdej godziny — nie traci jej, gdy nakazuje sobie odprężenie, biorąc do ręki powieść. Nie będzie wcale przesadą, gdy powiem, że dobra beletrystyka wielu ludzi więcej nauczyła niż długie wykłady. Kulturalny ksiądz jest oczytany. Zna problemy współczesnej twórczości pisarskiej, zna autorów, nie obce są mu fikcyjne postacie bohaterów powieści, które przecież żyją wśród czytelników niejednokrotnie bardziej realnie od ludzi z krwi i kości. Umie o nich mówić. Gdy w towarzystwie rozmowa schodzi na literaturę, kulturalny ksiądz nie

zamienia się w słup soli. Obok literatury pięknej, do rozrywek kapłana należy zaliczyć muzykę. Dla wielu ona jest czymś znacznie większym, ale tylko niewielu można znaleźć prawdziwie kulturalnych księży, którzy nie mieliby wyczucia w tej najbardziej duchowej dziedzinie sztuki. Jakoś bardzo szlachetnie i subtelnie wygląda w oczach wiernych duszpasterz, którego można spotkać na koncercie symfonicznym, czy chociażby przy głośniku, w czasie transmisji z filharmonii. Gdy roztropność powiada kapłanowi, że nie powinien pójść na graną w teatrze sztukę, o której wszyscy mówią, a która nie bardzo licuje z jego stanem duchownym lub t. p., to postara się zapoznać z jej tekstem i wyrobi sobie o niej własny sąd. Podobnie zachowuje się wobec X. Muzy.

Kulturalnego kapłana znają turyści. Bywa on na niebosiężnych szczytach i płynie po szerokich jeziorach. Tam w pełni odpoczywa i zdaje się mu, że nic więcej nie robi, ale podświadomość gromadzi zapas refleksji, które kiedyś zamienią się w słowa płynące z ambony, czy zza katedry w szkole. Zażywając pięknej rozrywki, jaką daje turystyka, kapłan nie jest śmieszny i swej miłości bliźniego nie posuwa do tego, by na wysokości Rysów urządzać bezpłatne widowisko z siebie samego, gdy drapie się wzwyż w sutannie, koloratce i w czarnym kapeluszu na głowie. Widziałem raz podobną scenę, którą demonstrowali klerycy i ojcowie pewnego czcigodnego zakonu. Żal mi było umęczonych sług bożych, współczułem na widok czerwonych, zalanych potem twarzy, ale nie mogłem powstrzymać śmiechu na widok nieporadności biedaków przy podchodzeniu. No bo któż ubiera się tak nieracjonalnie na wysokogórską wspinaczkę? Prawdopodobnie pod względem swego zachowania się nie byłem gorszy od turystów świeckich, którzy siedzieli obok mnie. Łatwiej już pogodzić sutannę czy koloratkę ze stadionem sportowym. Tutaj ona nie śmieszy, a kapłan musi koniecznie wiedzieć, co to jest bramka, atak, obrona, zwłaszcza jeżeli jest duszpasterzem młodzieży. Kapłan-sportowiec w czasie swej obecności na meczu łączy przyjemne z pożytecznym, kapłan nie mający pojęcia o sporcie będzie się tam właściwie nudził, więc niech lepiej przeczyta sobie coś niecoś ze sportu w dodatku gazety, którą kupuje. Przekonałem się, że nic tak nie łamie pewnych zahamowań między świeckimi a księdzem, jak pogawędka o wynikach ostatnich rozgrywek sportowych.

Trudno sobie dzisiaj wyobrazić kulturalnego człowieka bez znajomości zasad savoir-vivre. Czyjaś najgłębsza kultura du-

chowa nie zostanie należycie rozpoznana i oceniona, jeżeli nie idzie w parze z formami towarzyskimi. Nie mam tu na myśli samych zdawkowych uprzejmostek, ale zewnętrzne okazywanie wielkiego poszanowania, jakie człowiek kulturalny posiada dla drugiego człowieka nie z powodu takich czy innych zalet, ale dlatego, że jest obrazem i podobieństwem bożym. Kapłan to poszanowanie cudzej godności może okazać w konfesjonale, na ambonie, w kancelarii parafialnej, na zebraniu towarzyskim, na ulicy, w tramwaju, w pociągu, słowem wszędzie. Kapłan nie może tutaj nie okazać uprzejmości, w słowie i czynie.

Czy jeszcze opisywać kulturalnego kapłana, powierzchownie go obserwując? Myślę, że nie potrzeba. I tak każdy dobrze wie, jak on ma wyglądać.

No, a teraz trzeba westchnąć i sklecić parę zdań o drugiej grupie kapłanów. Właściwie można cały opis bardzo sobie uprościć i powiedzieć krótko, że jest on zaprzeczeniem pierwszej. Jej członkowie uważają, że cała ta świecka kultura nie jest wcale księdzu potrzebna. Jemu wystarczy teologia, ascetyka, szafarstwo sakramentów. Księża z drugiej grupy żyją przykładnie. Nikt nie może powiedzieć o nich nic złego. Dbają o kościół i sprawy duchowe, są gorliwi w pracy nad powierzonymi ich pieczy duszami, ale poza tym nic ich nie interesuje. W mieszkaniu na półkach podręczniki teologiczne z lat seminaryjnych, trochę literatury kaznodziejskiej, na biurku pisemko religijne. To wszystko ze słowa drukowanego. Po żadne żywe słowo nie jeżdżą, ani nie chodzą nigdzie. Z konieczności tylko udają się na konferencje dekanalne. Trzymają się kurczowo zwyczajów zaprowadzonych w parafii przed stuleciami przez ich poprzedników. Gdyby mogli wydawać ustawy, zmieściliby je pod jednym tytułem, jeszcze z czasów króla Aleksandra: Nihil novi. Nowych Nauk i prądów nurtujących świat nie chcą poznać. Bo i po co? Cóż one znaczą wobec wieczności? O rozrywce nie myślą. Dość zajęcia w parafii i własnym domu. Dziwią się tym konfratrom, którzy opowiadają o przeczytanych książkach, o odbytych wycieczkach, o teatrze, filmie, sztuce: Że też wy macie na to wszystko czas! Ja jestem zajęty pracą, że szczęśliwv się czuję, gdy dorwę jakąś chwilę, by móc trochę się przespać po południu. Najczęściej zapominają ściślej określić, ile ta chwila trwa. Gdy znajdą się w towarzystwie ludzi świeckich, swoim zachowaniem sugerują im, że są z innej planety. Najchętniej milczą, bo tematy poruszane w rozmowie są im obce. Najwyżej zdobędą się na powiedzenie jakiegoś żarciku — zazwyczaj takiego, który ma

długą brodę i pachnie na kilometr naftaliną i patrzą często na zegarek, by nareszcie móc wrócić do siebie, do swego pokoju i do własnego światka, w którym wszystko jest takie znane i bezpieczne. Na miejscach publicznych żądają podświadomie oznak powszechnej czci, należnej im z urzędu, a gdy jej nie widzą, narzekają na dzisiejsze zepsucie. Nie usiłują szukać innego wytłumaczenia. Nie lubią jeździć nigdzie, aby nie zetknąć się z czymś nieprzewidzianie nowym, co nie mieściłoby się w ich systemie wartościowania urobionym jeszcze w seminarium i co zmuszałoby do zrewidowania swych poglądów. Gdy znajdą się przy jakiejś okazji w wyłącznie swoim kółku, narzekają na obecne ciężkie czasy, żalą się, że jakoś życie i żywi ludzie uciekają przed nimi, że trudno nawet porozmawiać z kimś szczerze, bo wielu już dzisiaj nie rozumie kapłana.

To taki najbardziej ogólny i mocno zamglony opis księży, nie chcących widzieć świata. Może byliby dobrymi członkami zakonu kontemplacyjnego. Im wydaje się, że są wzorowymi duszpasterzami całych parafii. A ludzie ich nie rozumieją i patrzą na nich, jak na żywy obraz w historycznych strojach, który czasem robiło się na zakończenie przedstawienia w amatorskim teatrzyku.

Aby temu, jak się rzekło, trochę mdłemu opisowi nadać nieco wyrazistych barw, zróbmy parę kresek węglem.

Na pewnym zebraniu dekanalnym narzekano, że nie ma żadnego diecezjalnego pisma, które mogliby czytywać i księża. — Jak to — zaoponował dziekan — przecież jest „Tygodnik Powszechny". Ech, odpowiedziano mu, to przecież dla inteligencji. — Bywa i tak.

Gdzie indziej, w czasie rozmowy przy stole, jeden z wikarych poinformował, że skasowano autobus powracający w późnych godzinach wieczornych z miasta posiadającego operę. O, to dobrze, ucieszył się sąsiad, nareszcie ludzie przestaną jeździć na te koncerty i opery. (!)

W pewnym domu duchownym klerycka młodzież dopominała się o zainstalowanie w sali rekreacyjnej radioodbiornika. Ten, od którego to zależało, wyjaśnił: Za czasów bł. Jakuba Strepy wasi poprzednicy nie mieli radia, a jakimi świętymi byli kapłanami. I wy bez radia też potraficie takimi być. A to jest wasz cel. Może takie zestawienie XIV i XX wieku miało być żartem? Nie wiem.

Oczywiście, że tak myślący kapłani, jak w tych trzech wypadkach, należą do wyjątków i absolutnie nie mogą reprezen-

tować ogółu grupy drugiej. Ale tak, jak na pewnych drzewach tworzą się szpecące je grzyby, tak i wśród kapłanów zajętych wyłącznie swoim intelektualnym zaściankiem pojawiają się takie oto okazy. Wzajemny stosunek tych dwóch rodzajów kapłanów, które usiłowałem naszkicować, bywa poprawny. Podstawową cnotą i cechą życia kapłańskiego zawsze pozostanie miłość. Ale czasem gdzieś na odległych peryferiach świadomości jednych rodzi się refleksja, że tamci są mniej wartościowi od nich. A u drugich znowu, że ci pierwsi coś zanadto świetczeją. To będą niebezpieczeństwa realne, których trzeba się strzec. Kultura jest niewątpliwie bardzo cenionym przymiotem kapłana i takim bardzo na czasie, ale nie może w żadnym wypadku uczynić z kapłana człowieka więcej świeckiego niż duchownego. A wyłączne znowu zajmowanie się jednym i niewielkim wycinkiem życia, nieposzerzenie swoich horyzontów, powoduje, że zostaje się w tyle, traci na wartości, podczas gdy inni idą naprzód.

Ks. dr M. Rzeszewski, Wrocław

Błędy obrazowania

Omawiając sztukę obrazowania napomknęliśmy o sidłach czyhających na nieświadomych. Dobrze będzie spojrzeć na nie jeszcze raz i wskazać inne, które uszły dotąd naszej uwagi.

Odrzuciliśmy ideę, że można używać obrazów tylko dla dekoracji. Nie da się pogodzić wielkiej sprawy głoszenia łaski bożej z manierą „dekorowania”. W niektórych miejscowościach nadmorskich dekoruje się drzewa i latarnie barwnymi lampionami, aby uczynić promenadę bardziej atrakcyjną. Lampiony rzucają nikłe światło, ale mają upiększać miejsce i dodać strojności wczasowiczom.

a) Obrazowanie w kaznodziejstwie nigdy roli tej pełnić nie może. Obrazy mają tu być lampami łukowymi. Jeśli same w sobie są piękne, to dobrze i przyjemnie, ale cel ich jest ściśle użytkowy. Mają rzucać na drogę powódź światła. Nie wolno więc nikomu uprawiać na ambonie jakiegoś opowiadania jako celu w sobie. Na to dość miejsca gdzie indziej. Na ambonie stoimy między Bogiem a ludźmi; przy największym wystrzeganiu się samochwalstwa, kaznodzieja nie może zapomnieć o wzniosłości swego urzędu. Żaden prorok nie był brany po-

ważnie, jeśli nie czuł przejmującej wzniosłości swego posłannictwa. Dyletant na ambonie jest odpychający.

b) Odrzucamy także idee budowania kazania w o k ó ł obrazu. Może się zdarzyć, że gdy się duma nad obrazem z życia, prawda w nim ukryta uczepi się umysłu i skieruje go do Pisma św. i teologii, aby stać się tematem kazania. Może się zdarzyć, że przy okazji jakiegoś obrazu, jakiś tekst lub aspekt będzie prosił o omówienie. Obraz zostanie na swym miejscu naturalnym. Ale trzeba odrzucić wszelką tendencję odwracającą ten proces. P r a w d a w sobie musi nas zajmować i żądać wyrazu, obraz będzie wedle możności służyć temu celowi.

c) Wspomnieliśmy już, że obraz wymagający wyjaśnienia nie jest obrazem. Kościół nie jest salą wykładową, a ambona katedrą. Były czasy, gdy ksiądz był jedynym nauczycielem w większości tematów, i wtedy można sobie było pozwalać na obszerniejsze instrukcje ogólne. Kto wyjaśnia prawdę bożą przy pomocy obrazów wymagających wyjaśnień, ten nie najlepiej wykorzystuje czas na ambonie.

d) Wspomnieliśmy też o konieczności u r o z m a i c a n i a obrazu. Nudziarz jeżdżący tylko na swoich konikach, przynoszący na ambonę swych upodobanych autorów lub swoje zainteresowania akademickie, wierci dziurę w brzuchu słuchaczy, choćby były to zainteresowania wysokie i choćby oddawał sprawiedliwość specjalnemu przedmiotowi. Gdyby kaznodzieja, który, z dopuszczenia Bożego, pełnił w przeszłości różne funkcje, nie potrafił otworzyć ust bez opowiadania, jak on to był sekretarzem młodzieży, profesorem, rektorem — słyszał jak słuchacze reagują na te przyczynki autobiograficzne, byłby do głębi wstrząśnięty. Tak samo byłby wstrząśnięty kaznodzieja turysta, który nie umie 5 zdań powiedzieć bez wzmianki o swych podróżach, z których „reportaże" słuchacze znają już na pamięć.

e) Trzeba unikać metafor zbyt z ł o ż o n y c h. Jeżeli zwroty retoryczne są ilustracjami w miniaturze, to muszą być jasne. Oczywiście łatwo jest stać się pedantem w tych metaforach i zapomnieć, że język polski, jak zresztą i inne, jest prawie cmentarzyskiem zwiędłych figur stylistycznych. Słuchacze nie wymagają od nas wyrafinowanej maestrii, ale trzeba unikać jaskrawych, splątanych metafor. Nawet największym przytrafiały się tu potknięcia. Szekspir powiedział np.

„Horacy, ja umieram;
Jad przemożny mój umysł ćmi zupełnie" (Hamlet 5, 2).

W innym miejscu powiedział:

„Niechaj cukrzony język liże głupi przepych,
i niech się kolan gną zawiasy giętkie" (Hamlet III, 2).

Oczywiście słuchacze wrażliwi musieli być wstrząśnięci metaforami tak dziwacznymi. Wstrząsać ludźmi tak niewłaściwie, gdy się chce ich przekonać, jest niemądrze i na ambonie i w dramacie. Nie wolno ignorować niebezpieczeństw w ilustracji nawet w miniaturze. Jeżeli dodamy jeszcze do tego ostrzeżenie, aby nie traktować kazania jako wystawy swej wiedzy i oczytania, to moglibyśmy z kolei omówić inne, które dotąd uwagi naszej uszły.

1. Nie mieszać obrazu i argumentu. Dla umysłu uporządkowanego zasada to oczywista: obraz i argument to nie to samo. A często się je miesza. Grecy już wiedzieli o tym niebezpieczeństwie; niektórzy filozofowie, zwłaszcza Lock, zwracali na nie uwagę. Kogoś może ponieść, zanim się spostrzeże co się stało. Obraz wziął za argument najpierw we własnym umyśle, a potem chciał go podać w tej roli słuchaczom. Słuchacze zauważą namiastkę. Jeśli są przekonani, że sam kaznodzieja się oszukał, to pozostanie on w ich oczach moralnie nieumniejszony, ale stracą szacunek dla jego umysłu. A to wielka cena do zapłacenia.

2. Nie każde kazanie musi mieć określoną liczbę obrazów; nie obrazować rzeczy oczywistych!
Jeśli się pamięta o pomocniczej funkcji obrazu w służbie prawdy, to położy się go tam tylko, gdzie prawda jest przyćmiona i w tych punktach, które wymagają ożywienia.

Ilustrowanie rzeczy oczywistych jest marnowaniem czasu i nudziarstwem. Naturalnie nie dla każdego dana rzecz jest oczywista. Różne są audytoria i różni w nim słuchacze. Kaznodzieja widzi przekupkę i profesora. Ludzie inteligentni są dość rozumni, aby widzieć konieczność obrazu pomagającego w zrozumieniu ludziom prostym, i czekają cierpliwie na argument. Dając obraz nikomu niepotrzebny i kręcąc się jeszcze koło niego, znieważa się umysłowo słuchaczy.

Przypominam sobie oburzenie jakiejś kobiety po kazaniu pewnego wikarego. Miętosząc jakiś całkiem oczywisty punkt, według owej kobiety nawet nie wart wzmianki, mówca ciągnął: „Teraz pozwólcie mi to zobrazować na przykładzie wagi...; wiecie wszyscy, co to jest waga. Waga to przyrząd do

ważenia...". Dotąd prześladuje mnie widok owej kobiety naśladującej pociesznie namaszczoną minę mówcy i jego spłowiały głos.

3. Nie wyprowadzać morału!

Postawiliśmy zasadę, że obraz jest chybiony, jeśli trzeba wyciągać z niego morał. Nawet dzieci buntują się przeciwko sentencjonalnym morałom i zaczynają się wiercić, gdy naiwny mówca zaczyna „zastosowanie ilustracji". Poza przypowieścią o siewcy, pszenicy i kąkolu, Chrystus nigdy nie wyjaśniał przypowieści, a i wtedy uczynił to na prośbę uczniów. Powiedział: „Kto ma uszy ku słuchaniu, niechaj słucha" (Mat. 11, 15). To wszystko.

Nie znaczy to, że po wypowiedzeniu nie można dać point'cie obrazu kilka uderzeń młotem. Ale pół-dowcip popsułby obraz moralizowaniem. Uderzenia muszą paść w zdaniach wycyzelowanych, ostrych i rączych.

Oczywiście, jakkolwiek rozsądnie i poważnie przedstawiłby się i zobrazowało prawdę, znajdą się ludzie nieuważni lub ograniczeni, którzy nie uchwycą sensu, a nawet wyprowadzą wniosek przeciwny zamierzeniu mówcy. Wszyscy kaznodzieje tutaj ryzykują. Trzeba jednak ryzyko to sprowadzić do minimum i mówiąc tak jasno, aby nawet wolno myślący nadążyli.

4. Nie zapominać o faktach. Puryści sprzeciwiający się stosowaniu anegdot w kazaniach skarżą się, że są one często fałszywe w całości lub części. Jest to, mówią, pewna postać bajki. To fikcja na usługach wymowy, ale opowiedziana z pozorami prawdy.

Nie przeczą temu kaznodzieje stosujący anegdotę. Niektórzy nawet tworzą takie opowiadania, traktując je niby przypowieści i nie poczuwają się do większej winy niż np. Sienkiewicz, opisując przygody Wołodyjowskiego. Nawet wśród tych, co nie tworzą opowiadania, zdarza się jednak „haftowanie" lub „ulepszanie" wydarzenia, retuszuje się je tak, że w ostatecznej postaci są one tylko cieniem faktu. Co można powiedzieć o tych pomysłach? Czy mogą mieć miejsce na ambonie?

Nie uważam, że da się je usprawiedliwić. Można przyjąć szeroki margines co do formy opowiadania (leży w tym lwia część sztuki gawędziarskiej), ale jeśli się fakty zna, trzeba się ich trzymać. Niewiele innych zabiegów tak podkopuje szacunek dla ambony jak podejrzenie, że kaznodzieja za swobodnie szafuje „prawdą". Jeżeli kaznodzieja potrzebuje obrazu dla sportretowania point'y kazania i nie ma pod ręką obrazu fak-

tycznego, może tworzyć, ale musi być widoczne, że to płód wyobraźni i nie może on pretendować do czegoś autentycznego. Wyjście jest zupełnie proste, jedno wstępne zdanie wskaże charakter takiego obrazu: „To tak jakby...", albo: „Tak sobie to przedstawiam..." Słuchacze łatwo wnikają w ducha obrazu i idą za kaznodzieją. W czasach Chrystusowych nie było ryzyka nieporozumienia co do natury przypowieści. Były one zdaje się „powszechną formą" u rabinów.

Jedną z najczęstszych nieuczciwości na ambonie są wydarzenia, które przytrafiły się komuś innemu (jeśli w ogóle się przydarzyły), podawane tak, jakby przydarzyły się samemu mówcy. Przypuszcza się, że opowiadanie traci moc, jeśli nie jest w pierwszej osobie. Kto czyni to często, traci respekt słuchaczy i może się narazić na upokorzenie.

Pewien kaznodzieja wywołał na misjach burzę śmiechu opowiadając jakąś historię z „nieprawdziwego zdarzenia" jako własne przeżycie. Gdy śmiech, kaskada za kaskadą, podszedł pod ambonę, kaznodzieja jakby mówił do siebie: „nie wiedziałem, że to aż takie dobre". Nie wiedział, że w przeddzień wieczorem przytoczył to samo inny mówca, który siedział w kościele, zaambarasowany przedłużającym się śmiechem. Słuchacze doszli do wniosku, że wydarzenia tego w ogóle nie było. Nigdy nie można być całkowicie pewnym, czy słuchacze śmieją się z mówcy, czy z anegdoty. Ludzie w kościele nie śmieją się wobec takiego błędu kaznodziei, ale coś w nich umiera: zaufanie do człowieka, który miał im ukazywać drogę do nieba.

Anegdota ma na ambonie miejsce pośledniejsze, lecz tu, jak i wszędzie, jest zasada: trzymać się faktów.

5. Ni „opiewać" siebie.

Wszelki postęp jest postępem w pokorze i niewiele jest smutniejszych widowisk od mówcy ujawniającego na ambonie brak tej uroczej cnoty.

To „opiewanie" siebie robi się dość subtelnie. Wspomina się np. jakieś znane osobistości. Znałem kogoś, kto od czasu do czasu „zwiastował" zebranym w kościele: „Ks. Prymas telefonował mi, że..." albo: „Za chwilę jadę do ks. kardynała"; albo: „Objąłem rządy nad... i wszystko na mojej głowie"; albo: „Gdy byłem sekretarzem generalnym, profesorem, rektorem...". Spóźniwszy się na jakiś występ, przepraszał: „Jestem sam, wszystko na mojej głowie"; obecni z politowaniem patrzeli na to „nadciśnienie" jego nad — ja. Każdy musi się mieć pod tym względem na baczności, a zwłaszcza kaznodzieja: nie można

w kaznodziejstwie jednocześnie wywoływać wrażenia, że się jest olśniewającym i że Chrystus jest przedziwny.

Ludzie są często wrażliwsi niż my. Odczuwają czy kaznodzieja jest „syty Boga", czy siebie. Odczuwają samowystawę; odczuwają także, gdy kaznodzieja nosi włosiennicę prawdziwej pokory.

6. N i e l e k c e w a ż y ć r o z ł o ż e n i a o b r a z ó w. Każdy obraz ma w toku kazania określoną sytuację. Różni się ona w zależności od obrazu i kazania. Każdy, mający pod tym względem wyczucie, wie dokładnie, gdzie musi przyjść obraz. I tylko w tym jednym miejscu obraz uzyska swą pełną siłę. Użyty za wcześnie jest na pół stracony. Odsunięty, przybywa jak spóźnialski mitręga i jest odczuty jako zbędny. Nie łatwo się tego nauczyć, jeśli się nie ma pod tym względem wyczucia, ale można tu dać niektóre wskazówki.

Kazanie można zacząć obrazem, jeśli przedstawia on i ogniskuje problem; na początku kazania chodzi właśnie o podniesienie zagadnienia. Dotyczy to zwłaszcza kazania dowodzącego, gdzie teza musi być rychło podana.

Tym naturalniejsze jest miejsce dla obrazu, gdy stawia się tezę i dowodzenie jest kłopotliwe, gdy ciemność myślowa wokół i na twarzach słuchaczy czyta się: „Jak z tego wybrnąć?" Kaznodzieja szuka odpowiedzi. Nie ma o c z y w i s t e j odpowiedzi na problem. Najlepszy i najprostszy język nie sprosta wobec wszystkich słuchaczy, gdy kazanie jest czystym wykładem. Kaznodzieja sięga po obraz. Zawikłanie jeszcze duże, ale zaczyna się przejaśniać; jeszcze jedna analogia i błyska światło jak błyskawica w ciemną noc. T o jest miejsce na obraz; t o , a nie inne. Wszelkie światło błyszczy jaśniej w mroku. W analogii prześwieca odpowiedź. Kaznodzieja i słuchacze mogą iść dalej.

Gdy nadszedł moment na obraz, dać go. I n i e z a p o w i a d a ć g o , bo to niemądre. Zapalić światło! Nie „zapuszczać motoru" przez takie np. zdania:

„Słyszałem niedawno o takim zdarzeniu, które może wyjaśni naszą sprawę, a które chcę wam opowiedzieć. Sami osądzicie, czy obraz ten rzuca światło na naszą rzecz"...

Zostawić taką grzebaninę powieściopisarzom, jeśli który nie potrafi inaczej ująć swej roboty. Kaznodzieja rusza z miejsca bez zadyszki, ale ze świadomym pośpiechem. Ma tylko pół godziny na zbudzenie umarłych. Jest „szlachetnie ubogi w czas"

i nie wolno mu kraść z niego ani sekundy. Zwykły obraz wymaga najwyżej tyle: „Pozwólcie mi to zobrazować". Jeszcze lepiej, gdy i to zbędne.

7. Nie stosować obrazów odrywających uwagę od tematu kazania.

Obraz może być za ciekawy w sobie. Dobry mistrz wyrzuci go za burtę. Dobry obraz ma zrobić swoje i w tym się wyczerpać. Myśl słuchaczy ma być skupiona na temacie kazania. Obraz jest tylko latarnią. Nikt nie obejmuje latarni i nie bada jej jako dzieła sztuki. Jesteśmy jej wdzięczni za światło, które rozlewa, i idziemy dalej.

Jeśli obraz ściąga zainteresowanie na boczne sprawy i zabawia słuchaczy na bocznych ścieżkach, przegrał. Nie łatwo jest obliczyć u ilu słuchaczy obraz to sprawił; różnią się oni w łatwości odwrócenia uwagi. Inteligentny kaznodzieja wyczuje niebezpieczeństwo i nie stosuje obrazu więcej niż tego wymaga cel praktyczny.

Jednym z najpoważniejszych sposobów odwracania uwagi od tematu jest opowiadanie, które brzmi nieprawdziwie, nawet gdyby prawdziwym było.

Przekonałem się sam o słuszności tego zdania Newmana: „Ludzie prędzej uwierzą w rzeczy niemożliwe niż w nieprawdopodobne."

Zaproszono mnie raz na wesele. Z powodu zajęć przybyłem późno i zastałem w głównej sali tylko gospodarza. Goście bawili się w najlepsze: tańczyli, śpiewali, grali, podchodzili do kredensu po napoje; starzy i młodzi bawili się jak dzieci.

W rogu pokoju zauważyłem jakąś niewiastę. Była uradowana i uśmiechnęła się, gdy ją zauważyłem. Zdawało się, że jest trochę zapomniana i spytałem gospodarza: „Kto to siedzi tam w kącie? — „Nie wie Ksiądz?" powiedział nieco zaskoczony; „muszę ją przedstawić, to panna młoda".

Opowiadanie było prawdziwe i nieprzesadzone w żadnym szczególe. Miało otworzyć naukę o niebezpieczeństwie wypchnięcie łokciami Chrystusa z serca uroczystości kościelnej. Po nabożeństwie stwierdziłem, że miało jeden defekt, brzmiało nieprawdopodobnie. Słuchacze powiedzieli hultajsko, że zretuszowałem wydarzenie. W ciągu kazania widziałem, że wielu słuchaczy błąkało się po sali weselnej, a inni myśleli o zapomnianej młoduchnie.

Można stosować w obrazie materiał najbardziej nieprawdopodobny, jeśli to fakt bezdyskusyjny np. jakieś mniej znane

prawdy naukowe, jakieś wypadki biograficzne zaszłe w „definitywnym życiu". Lecz biorąc obrazy z własnego doświadczenia lub z rodzaju anegdot, trzeba pamiętać, że muszą one być nie tylko prawdziwe lecz i p r a w d o p o d o b n e. Inaczej obraz nie utrzyma uwagi przy temacie kazania. Zachodzi tu z innego punktu widzenia to samo co w stosowaniu paraboli. Przypowieści mogą być czystą fikcją, ale muszą być prawdopodobne. Ich doświadczenia są prawie banalne, każdy je zna. Ktoś mógł nigdy nie nazwać swego brata: „Oto syn twój", ale powiedział to w swym sercu z okazji syna marnotrawnego. Jest to w ustach Mistrza jedna z najdziwniejszych rzeczy w tej przypowieści. Wszystko tak zwyczajne — i tak wzniosłe! Nikt nigdy słuchając przypowieści o synu marnotrawnym nie pomyślał: „Jakaś niezwykła historia!" Ona przekonywa. Nie budzi nawet kwestii prawdziwości. Jest przedziwna na ziemi i w niebie zarazem.

Na tym skończymy. Jeśli się te rozważania wydały komuś „dużym hałasem o nic", zaciemnieniem nawet sprawy, to możemy dodać tylko przekonanie, że głoszenie Dobrej Nowiny o Jezusie Chrystusie jest czynnością najwyższą i najświętszą, jakiej człowiek poświęcić się może; jest zadaniem, którego aniołowie mogą zazdrościć, i dla którego archaniołowie mogliby opuścić dwór niebieski. A ponieważ sztuka obrazowania ma swe skromne, choć nie ostatnie miejsce w kaznodziejstwie, nikt nie może żałować czasu na jego bliższe badanie.

Reguły, oczywiście, mają wyjątki, lecz wyjątek jest najlepiej znany ludziom, którzy najlepiej znają regułę.

Kaznodziejstwo, powiedzmy pod koniec, nie jest takim sobie mówieniem o religii, ani sztuką budowania i głoszenia kazań, lecz raczej t w o r z e n i e m k a z n o d z i e i i głoszeniem przez niego Chrystusa. Dlatego niech darują czytelnicy przypomnienie, że najbardziej przejmującym obrazem czy przykładem — jesteśmy my sami.

Czy dobrze sprawuję liturgię?

Obrzędy Chrztu św.

Przy udzielaniu chrztu św. każdemu z nas mogą zdarzyć się pewne niedociągnięcia pochodzące raczej z zapomnienia i słabości ludzkiej niż z lekkomyślności. Warto wobec tego niejedno sobie przypomnieć.

Kapłan używa biretu tylko przy przejściu z zakrystii do kruchty, i w drodze powrotnej od chrzcielnicy do zakrystii. A więc odkrytą ma głowę przy sprawowaniu obrzędów. Umywa ręce na początku i końcu. Formalności wypytania się o parafię, o rodziców chrzestnych, imię i ewentualny chrzest z wody winny być załatwione już poprzednio w biurze parafialnym.

Wstępne ceremonie odbyć się powinny w przedsionku kościoła, a nie już w samym kościele. W przedsionku więc ustawiają się rodzice chrzestni wraz z chrześniakami: z prawej strony kapłana mający być ochrzczeni chłopcy, z lewej dziewczęta. Chłopcą trzyma ojciec chrzestny, a dziewczę matka chrzestna, a wtedy druga strona stoi po lewej tamtych. Jeśliby trzecia osoba miała trzymać dziecko, wtedy ojciec chrzestny stoi po jej prawej stronie, a matka chrzestna po jej lewej. Główka dziecka spoczywa na prawym ramieniu ojca czy matki chrzestnej. Wszystkie ceremonie należy rozpoczynać od chłopców.

Przed rozpoczęciem kapłan z nakrytą głową mógłby kilka słów przemówić o znaczeniu chrztu świętego w myśl polecenia rytuału (Tit. I, n. 10): *In Sacramentorum administratione eorum virtutem, usum, ac utilitatem, et caeremoniarum significationes, ut Concilium Tridentinum praecipit, ex Sanctorum Patrum et Catechismi Romani doctrina, ubi commode fieri potest, diligenter explicabit.*

Kapłan niech wyraźnie stawia pytania, a rodzice chrzestni niech też wyraźnie odpowiadają, asystujący kościelny czy ministrant niech też głośno tam gdzie trzeba odpowiada „Amen" itp. „Wierzę w Boga" i „Ojcze nasz" przy wprowadzaniu do kościoła kapłan mówi po łacinie, a rodzice chrzestni mówią po polsku głośno i również wyraźnie.

Kapłan niech zważa, by tam, gdzie naznaczono w rubrykach „*singulariter singulis*", istotnie tak też odpowiednie ceremonie pojedyńczo na każdym przeprowadzić.

Przy pierwszym egzorcyźmie kapłan dmucha trzykrotnie, nie zaś chucha, wprawdzie dmucha lekko (Ter exsufflat leniter in faciem infantis).

Te wszystkie obrzędy z nakładaniem ręki na głowę dziecka i przytrzymaniem ręki wyciągniętej należy wykonać należycie, bez pośpiechu i estetycznie pięknie.

Mam wrażenie, że należałoby też więcej przejąć się treścią modlitw i egzorcyzmów, a wtedy też wykonamy z większą akuratnością i powagą wszystkie znaki krzyża.

Przed wprowadzeniem do kościoła kapłan nakłada, jeśli jest jedno dziecko, lewy koniec stuły na dziecko i sam idzie z prawej strony dziecka. Gdyby koniec stuły miał w czasie drogi z jakiejś przyczyny zesunąć się, kapłan nie wkłada go już drugi raz. Jeśli jest do chrztu więcej dzieci, wtedy kapłan kładzie prawy koniec stuły na pierwsze dziecko płci męskiej po swojej prawej stronie, a lewy na pierwsze dziecko płci żeńskiej z lewej strony, sam idzie w środku. Ale może też w tym wypadku włożyć lewy koniec stuły tylko na pierwszego chłopca (sam idzie wtedy z prawej strony chłopca), i w ten sposób wprowadzić za pierwszym chłopcem, drugiego i trzeciego, a po chłopcach dziewczęta.

Chrzcielnica zasadniczo powinna posiadać kratki ją otaczające. A wtedy przypadający tutaj egzorcyzm ma miejsce przed kratkami tuż przed drzwiczkami, a dopiero po zmianie stuły kapłan wprowadza rodziców chrzestnych i dziecko za kratki. Jeśli jest więcej dzieci, wtedy wprowadza pojedyńczo każde dziecko wraz z rodzicami chrzestnymi. Ponieważ u nas często brak balustrady wokoło chrzcielnicy, należałoby stanąć nie tuż przed chrzcielnicą, lecz w pewnej odległości od niej, a dopiero po zmianie stuły poprosić każdą parę pojedyńczo bliżej chrzcielnicy.

Pomazanie palca śliną ze względów estetycznych i higienicznych przeprowadzić w ten sposób, by najpierw językiem zwilżyć brzuszcze lewej dłoni, i dopiero stąd przenieść ślinę na brzuszcze wielkiego palca prawej ręki. Przy pomazywaniu uszu i nozdrzy nie potrzeba robić znaku krzyża. Po każdym pomazaniu wyciera się palec.

Przed namaszczeniem olejem katechumenów piersi i karku między ramionami niech kościelny w porę je obnaży, i to tak obnaży, by istotnie kapłan mógł te miejsca swobodnie namaścić i zaraz wytrzeć watą, którą trzyma wskazującym i średnim palcem prawej ręki.

Nie zapomnieć zmienić stułę względnie ją obrócić. Dobrze zaznaczyć to sobie kolorowym ołówkiem w rytuale. Jeśli są dwie stuły, to wtedy przed wkładaniem białej całuje ją. Przy zmianie tylko z jednej strony na drugą nie potrzeba stuły całować.

Jeśli dziecko ma nosić kilka imion, to je wszystkie należy wymienić tylko w dwu wypadkach: na samym początku przy pierwszym pytaniu i przy samym chrzcie. W innych wypadkach wystarczy wymienić tylko pierwsze.

Samego aktu sakramentalnego należy dokonać z wszelką powagą, polewając wodę na główkę (na wierzchołek głowy) dziec-

ka *in modum crucis et simul verba proferens, semel tantum, distincte et attente.* Poleca się ewentualnie zwilżyć przedtem włoski na głowie, by uniknąć ściekania wody po włosach, gdyż musi tutaj nastąpić fizyczne dotknięcie wody ciała. Rodzice chrzestni niech nie zapomną włożyć rąk na dziecko.

Pamiętać, że nakładanie białego czepka oraz podanie świecy palącej następuje *singulariter singulis.*

Jest u nas zwyczaj, że kapłan podaje na końcu krzyż do pocałowania, a rodzice chrzestni idą z nowoochrzczonym dzieckiem przed ołtarz, by ofiarować je Bogu.

Warto jeszcze przypomnieć, aby przy jednoczesnym chrzcie wielu dzieci, pod koniec jednym ciągiem wykonać wszystkie ceremonie *singulariter singulis* począwszy od pytań dotyczących wiary aż do *Vade in pace.* Ta część obejmuje więc: pytania, chrzest, namaszczenie chryzmem świętym, wkładanie czepka, podanie świecy i pożegnanie.

Diakon, o ile ma pozwolenie proboszcza, może chrzcić uroczyście stosując się do tych samych przepisów rytuału, co kapłan. Ale sól i ewentualnie wodę może poświęcić tylko kapłan.

Jeśli zachodzi nagła potrzeba ochrzczenia dziecka, rozpoczyna się od polewania wodą, a potem wykonywa się wszystko to, co następuje po chrzcie — a gdyby dziecko jeszcze żyło, dopełnia się tych ceremonii, które są przed chrztem.

Dobrze jest na samym końcu przypomnieć rodzicom chrzestnym o pokrewieństwie duchowym zaciągniętym między nimi a dzieckiem ochrzczonym i o obowiązkach spoczywających na nich w stosunku do chrześniaka.

Sylwetki wielkich biskupów i kapłanów

Biskup Nankier

Odzyskanie ziem zachodnich i razem z nimi archidiecezji wrocławskiej, przypomniało społeczeństwu polskiemu wybitną postać świątobliwego biskupa i Polaka — biskupa dwóch katedr: krakowskiej i wrocławskiej, Nankiera, postać bezwzględnie nieprzeciętną, którą przytłumił pył wieków, zwłaszcza po objęciu Śląska przez Prusy.

Syn ziemi śląskiej, urodzony w Kamieniu nad Brynicą, w ówczesnym księstwie opolskim około 1270 roku w rodzinie szlacheckiej, otrzymał staranne wychowanie domowe, głęboko reli-

gijne, gdyż cała rodzina odznaczała się wielką pobożnością. Rodzinny Kamień należał pod względem kościelnym do diecezji krakowskiej, do Krakowa udał się też młody Nankier na naukę.

Postanowił poświęcić się stanowi duchownemu i w szkole katedralnej krakowskiej studiował filozofię i teologię.

Już w 1303 roku został Nankier kanonikiem krakowskim. Naraził się jednak ówczesnemu biskupowi krakowskiemu, Janowi Muskacie, który też przeniósł Nankiera na archidiakonię sandomierską. Według ówczesnych przepisów archidiakona obowiązywało odbycie studiów uniwersyteckich. Nankier wyjechał więc w 1304 roku do Bolonii na studia prawnicze. Z tych czasów zachował się ciekawy dokument. Studenci byli podzieleni na „nacje" według narodowości. Nacja polska prowadziła częste walki z potężną nacją niemiecką. Nie wiemy jakim sposobem, ale obie nacje doprowadził Nankier do ugody i odprawił potem z tej racji dziękczynne nabożeństwo. Niesłuszny jest więc zarzut, jaki mu niektórzy stawiają: nienawiść do Niemców. Był gorącym patriotą polskim, czego niejednokrotnie dawał wyraz, ale jako głęboko religijny kapłan nie czuł nienawiści do nikogo.

Po ukończeniu studiów w Bolonii wrócił na swoją archidiakonię, gdzie przebywał do 1319 roku, kiedy to został powołany na stanowisko dziekana kapituły krakowskiej. Rok później umiera biskup Muskata i kapituła wybiera Nankiera biskupem krakowskim za aprobatą Stolicy Apostolskiej. Trudno było o lepszy wybór. Głęboko religijny, o ascetycznym trybie życia, wielki przyjaciel ubogich, przy tym głęboko wykształcony, na stolicy biskupiej mógł dopiero w pełni zajaśnieć zdobiącymi go cnotami. W ubogich szatach kapłańskich (dochody rozdawał ubogim) odwiedzał najbiedniejsze dzielnice Krakowa i okolicy, wszędzie niosąc pomoc i pociechę. Codziennie rankiem wysłuchiwał kilku Mszy św. i potem dopiero szedł do swych obowiązków.

Dwa dzieła trwale związały jego imię z dziejami diecezji krakowskiej: odbudowa katedry na Wawelu i ustawy synodalne dla diecezji krakowskiej.

Katedra krakowska została zniszczona pożarem w 1305 roku. Nankier przystępuje do jej odbudowy. Jego wezwanie do ludu o pomoc znajduje głęboki oddźwięk, co świadczy o jego popularności, nie szczędzi też własnych funduszów i sam przygotowuje plany odbudowy.

Były to czasy bardzo burzliwe, ciągłych walk i niepokojów. Od samego początku wstąpienia na stolicę krakowską zarządza Nankier modły o pokój i udziela za nie odpustu. Diecezja krakowska znajdowała się w opłakanym stanie i na gwałt domagała się reform. Już w rok po objęciu rządów zwołał Nankier synod diecezjalny, to jest zebranie kapłanów diecezji pod przewodnictwem biskupa, na którym uchwalono statuty diecezjalne, czyli przepisy życia religijnego, dostosowane do miejsca i czasu. Nankier był nie tylko inicjatorem tych statutów, ale bezpośrednim ich autorem. W 50 rozdziałach zebrał wszystkie zagadnienia teologiczne, prawnicze i moralno-pasterskie, z jakimi mógł się zetknąć kapłan w swej pracy duszpasterskiej. Dziełem tym stanął Nankier w szeregu najwybitniejszych polskich biskupów-prawodawców.

Wszystkie te prace zostały nagle przerwane w 1326 roku przeniesieniem biskupa Nankiera na biskupstwo wrocławskie. Spowodował je Władysław Łokietek. Cenił on wysoko Nankiera, jego cnoty, mądrość i patriotyzm. Śląsk w tym czasie coraz silniej się germanizował, więc Łokietek chciał tam mieć człowieka pewnego i oddanego. Nikt się lepiej na to stanowisko nie nadawał, jak Nankier, syn ziemi śląskiej.

Biskup niechętnie opuszczał Kraków, starał się nawet u Ojca św. o pozostawienie go na miejscu — jednak bezskutecznie.

Z chwilą jednak objęcia rządów diecezji wrocławskiej stanął Nankier zdecydowanie do pracy i walki. Położenie jego było trudne. Na Śląsku prym dzierżyli mieszczaństwo i szlachta niemiecka, duchowieństwo też w dużym procencie było niemieckie, a zwłaszcza zakon franciszkański. Nankier zrozumiał swoje zadanie i przystąpił do walki o spolszczenie Śląska. Stosunki polityczne też układały się niepomyślnie dla Nankiera. Księstwa śląskie jedno po drugim poddawały się Luksemburgowi, a Nankier stał zdecydowanie po stronie Władysława Łokietka. Miał więc i z tym duże trudności, ale nie cofnął się przed nimi. Stał stale po stronie polskiej i gdy nawet Kazimierz Wielki układem z 1339 roku zrzekł się Śląska na rzecz Czech, Nankier nigdy nie uznał tego faktu.

Podobnie jak w Krakowie i we Wrocławiu rozwinął Nankier działalność charytatywną, przebiegał ubogie dzielnice miasta i tutaj nie czynił różnicy między ludnością polską a niemiecką; wszyscy byli mu równie drodzy.

Położył też znaczne zasługi przy budowie katedry wrocławskiej. Rozwinął też działalność prawodawczą, podobnie jak

w diecezji krakowskiej. Odbył dwa synody diecezjalne w 1331 i 1335 roku.

Zmarł biskup Nankier nagle w Nysie 8 kwietnia 1341 roku, prawdopodobnie otruty przez nieprzychylne mu koła niemieckie. Ciało jego przewieziono do Wrocławia i pochowano w katedrze. Po jego śmierci głęboki żal ogarnął ludność, zwłaszcza biedną i to obu narodowości. W krótkim czasie wytworzył się pewnego rodzaju kult biskupa Nankiera. Źródła historyczne (Kronika Książąt Polskich, dzieje Długosza) wysoko stawiają cnoty i zasługi Nankiera. W XVIII wieku powstała myśl beatyfikacji świątobliwego biskupa. W tym celu podniesiono 15 marca 1719 roku jego zwłoki w prezbiterium katedry i po identyfikacji przeniesiono do zakrystii kanonickiej i umieszczono pod ołtarzem. Wytworzył się też zwyczaj, że w rocznicę śmierci 8 kwietnia odprawiano w katedrze wrocławskiej nabożeństwo w intencji beatyfikacji Nankiera.

Po zajęciu Śląska przez Prusy pamięć biskupa Nankiera zaczęła stopniowo słabnąć, ale w zupełności nie zanikła nigdy. Po odzyskaniu Śląska polskie władze kościelne wznowiły pamięć biskupa i już 8 kwietnia 1946 roku odprawiono nabożeństwo w intencji beatyfikacji i egzekwie przy jego grobie. Obecnie wrocławska kuria arcybiskupia ma zamiar wznowić starania o wyniesienie na ołtarze wielkiego biskupa — prawodawcy, ascety i opiekuna ubogich.

Tadeusz Madaliński, Poznań

Dr. Jan Ujda, Poznań

Ks. dr Bronisław Gładysz

wybitny znawca łacińskiej literatury średniowiecznej

Łacińską literaturę średniowieczną można bez przesady nazwać literaturą wszechświatową, gdyż obejmuje ona twórczość poetycką i naukową kulturalnych narodów europejskich od Boecjusza do Dantego, tj. mniej więcej od r. 500 do 1350, a więc na przestrzeni przeszło 800 lat. Jeśli do tego doliczymy łacińską literaturę starochrześcijańską od II do V wieku, mało uwzględnianą do niedawna przez filozofów klasycznych, to okres rozwoju łacińskiej literatury średniowiecznej wyniesie więcej niż tysiąc lat. Tą ogromną literaturą zajmowali się dawniej sporadycznie teologowie i historycy oraz badacze innych poszczególnych dziedzin naukowych, ale jej całości systematycznie nikt nie objął i nią się stale nie interesował, bo

nie było wówczas jeszcze osobnej łacińskiej filologii średniowiecznej. Dopiero w drugiej połowie 19-tego wieku rozpoczął się w krajach Europy zachodniej znaczny ruch naukowy, zmierzający do poznania całego łacińskiego piśmiennictwa średniowiecznego. Ruch ten ożywił się jeszcze bardziej na początku bieżącego stulecia. Powstały mianowicie na uniwersytetach nowe katedry i docentury łacińskiej filologii średniowiecznej, wydano wiele dzieł średniowiecznych pisarzy łacińskich, napisano o nich niemało rozpraw, przydzielono dla tej literatury osobne działy w istniejących czasopismach lub założono nowe, jej wyłącznie poświęcone wydawnictwa. Opracowano również ogólne zarysy jej niektórych dziedzin czy gatunków, ale nie dokończono historii całego łacińskiego piśmiennictwa średniowiecznego, która i tak nie byłaby zupełna bez gruntownego zbadania jego dziejów we wszystkich środkowo i zachodnio-europejskich krajach. Nawet w Ameryce utworzono osobny zakład („Mediaeval Academy of America"), wydający od 1926 r. czasopismo pt. „Speculum", poświęcone badaniom literatury i kultury wieków średnich.

A u nas w Polsce wydano wprawdzie dotąd (zrobili to przeważnie filologowie klasyczni) kilka tomów zbioru polskich poetów nowołacińskich (Pawła z Krosna i Jana z Wiślicy, biskupa Andrzeja Krzyckiego, Mikołaja Hussowskiego, Klemensa Janickiego, Jana Dantyszka, a osobno Kochanowskiego i Sarbiewskiego), napisano o nich kilkanaście rozpraw i przyczynków oraz ogólny zarys naszej nowołacińskiej poezji (prof. Sinko), ale ani polską, ani powszechną średniowieczną literaturą łacińską poza prof. Bruchnalskim, Brücknerem, ks. Fijałkiem, Ganszyńcem i Porębowiczem nikt gruntowniej i dłużej się nie zajął. Nie mieliśmy bowiem na żadnym z naszych uniwersytetów ani katedry, ani docentury tego przedmiotu do lat trzydziestych bieżącego stulecia. Lukę tę do pewnego stopnia wypełnił i studia w tej dziedzinie znacznie naprzód posunął dopiero ks. dr Bronisław Gładysz.

Urodził się on dnia 3 września 1892 r. w Sierakowie. Do szkoły powszechnej i do gimnazjum uczęszczał w Gnieźnie, gdzie też w 1911 r. zdał egzamin dojrzałości. Studia teologiczne odbył w Gnieźnie i Poznaniu. Dnia 13 lutego 1916 r. otrzymał święcenia kapłańskie, po których był przez jakiś czas wikariuszem przy poznańskim kościele św. Marcina. W 1918 r., na sześć miesięcy przed zakończeniem wojny, objął stanowisko wikariusza w Szkaradowie koło Rawicza, lecz nie na długo, bo

już na początku 1919 r. zgłosił się ochotniczo na kapelana dziesiątego pułku wojska polskiego, z którym uczestniczył w walkach powstańczych przeciwko Niemcom pod Szubinem, koło Nakła i na innych miejscach. Po powrocie z wojska był przez dwa lata prefektem żeńskiego gimnazjum w Ostrowie, skąd przeniesiony w charakterze proboszcza do Starołęki, oddał się tu z zapałem pracy duszpasterskiej, której w tej nowoutworzonej parafii poznańskiej miał niemało.

Mimo to znalazł jeszcze dość czasu na dalsze studia. Zapisawszy się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Poznańskiego uczęszczał na wykłady literatury i języka polskiego, filologii klasycznej oraz muzykologii. Pod kierunkiem prof. Dobrzyckiego napisał rozprawę pt. „Ks. Maciej Sarbiewski a reforma hymnów brewiarzowych za czasów papieża Urbana VIII" i na jej podstawie uzyskał dnia 8 lutego 1826 r. stopień naukowy doktora filozofii, a po dalszych samodzielnych już pracach w zakresie łacińskiej filologii średniowiecznej habilitował się w 1932 r. jako docent tego przedmiotu na wydziale humanistycznym Uniw. Pozn. Z tej też dziedziny prowadził odtąd na tym wydziale wykłady i ćwiczenia oraz wydawał obok mniejszych artykułów i przyczynków co pewien czas większe prace, uwzględniając w nich przede wszystkim polskich autorów średniowiecznych i polskie źródła z tego samego czasu.

Jako członek Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk brał ks. dr Gładysz czynny udział zarówno w pracach Komisji Teologicznej jak i Filologicznej, wygłaszając częste odczyty interesujące i teologów, i filologów.

Dorobek naukowy ks. dra Gładysza wynosi kilkadziesiąt pozycji. Już jako prefekt gimnazjalny opracował on dla młodzieży „Życiorysy wybitnych Świętych" (1921). Do tej samej dziedziny należy również jego praca pt. „Św. Franciszek w hagiografii polskiej" (1926).

Dalsze rozprawy ks. dra Gładysza (a jest ich kilka i to dość obszernych) odnoszą się do łacińskich hymnów kościelnych i dlatego można by go całkiem słusznie nazwać największym dotychczas katolickim hymnologiem. Podstawę i podnietę do badań nad poezją hymniczną, a tym samym i nad całą średniowieczną literaturą łacińską, dała ks. Gładyszowi wspomniana wyżej jego rozprawa doktorska. Przygotował się autor do niej gruntownie. Przy pomocy specjalnego grafologa zbadał najpierw rękopisy rzymskie z poprawkami hymnów rzekomo pochodzącymi od Sarbiewskiego i zestawiwszy je ze znajdują-

cymi się w Polsce jego autografami, doszedł do przekonania, że poprawki te nie pochodzą z ręki tego polskiego poety. Także skrupulatna analiza tekstu nie świadczy o autorstwie Sarbiewskiego. W ten sposób wbrew dotychczasowym zapatrywaniom udowodnił autor, że udział Sarbiewskiego w reformie hymnów brewiarzowych za papieża Urbana VIII ograniczył się może tylko do początkowego jej okresu, albo był jedynie prywatny. Podczas pisania tej rozprawy poznał jej autor dokładniej zakres metody, dotychczasowe wyniki i potrzeby łacińskiej filologii średniowiecznej i poświęcił się jej odtąd całkowicie.

Najobszerniejszą pracą ks. dr Gładysza są „Hymny brewiarza rzymskiego oraz patronału polskiego. Przekład i objaśnienia" (Poznań, 1933). W książce tej dał autor polskiej literaturze religijnej rzecz naprawdę cenną, bo całkowity przekład hymnów brewiarzowych, zaopatrzony objaśnieniami. Brak takiego dzieła odczuwano u nas od dość dawna. Brewiarz bowiem, ta codzienna modlitwa kapłana, zawiera w sobie poza wartościami modlitewnymi, jakim przede wszystkim służy, całe skarby piękna i wzruszeń estetycznych, zgromadzone w najpiękniejszych utworach łacińskiej literatury kościelnej, powstałych w ciągu długich wieków. Odczucie jednak całego piękna poezji brewiarzowej i głębokich prawd wiary w niej zawartych wymaga między innymi również gruntownego opanowania języka łacińskiego. Także dobre przekłady na język ojczysty ułatwiają zrozumienie wzniosłej treści tych modlitw. Już w zaraniu polskiej literatury pojawiały się u nas jeden po drugim przekłady psałterza, poetyckie i prozaiczne. U Kochanowskiego i ks. Wujka osiągnęły one swój szczyt. Równocześnie z tłumaczeniem psałterza ks. Wujka dał ks. Grochowski poetycki przekład hymnów brewiarzowych. W ten sposób cały brewiarz w swych głównych częściach został przyswojony katolikom polskim. Dalszych przekładów hymnów dokonali księża Białobocki, Sierakowski, Ostrzykowski, Kitkiewicz, Hołowiński, arcybiskup Symon, jezuita Karyłowski (1932) i ks. dr Gładysz. Świadczy to o ważności hymnów kościelnych i o niesłabnącym zainteresowaniu się nimi.

Prozaiczny przekład ks. dr Gładysza poprzedza wstęp, w którym tłumacz omówił historyczny rozwój hymnodii kościelnej, przedstawiony już poprzednio w pracy pt. „Dzisiejsza hymnodia kościelna w historycznym swym rozwoju" (1932), przytoczył zebraną starannie literaturę przedmiotu, obcą i polską,

oraz podał najważniejsze uwagi o budowie hymnów. Układ przekładu zastosował ks. dr Gładysz do układu brewiarza: psalterium, proprium de tempore, proprium sanctorum, commune sanctorum i proprium Poloniae. Tłumacz oddał wiernie i dokładnie, a przy tym językowo poprawnie i czysto, treść każdej zwrotki, dołączając zaraz kilkuwierszowe objaśnienia, nawet po strofach jasnych i zrozumiałych. Uwagi tłumacza, wnikliwe i pożyteczne, przerywają jednak nieraz myśl i przejrzystość hymnu, a przez to osłabiają wrażenia estetyczne czytelnika i nie pozwalają mu skupić uwagi nad całym hymnem i ocenić jego piękna. Należało raczej umieścić myśl przewodnią i objaśnienia trudniejszych miejsc przed przekładem hymnu lub w przypiskach. Mimo to przekład ks. dra Gładysza znalazł szerokie rozpowszechnienie wśród księży zwłaszcza młodszych oraz wśród kleryków, oddając im wielkie usługi jako doskonała pomoc przy zrozumieniu całej piękności hymnów brewiarzowych.

Na hymny powstałe w Polsce i ich prawdopodobnie polskich autorów zwrócił ks. dr Gładysz szczególną uwagę w pracach: ,,O łacińskich hymnach kościelnych z polskich źródeł średniowiecznych'' (1930), ,,Einige Beiträge zur Geschichte der lateinischen Hymnendichtung in Polen'' (1930), ,,O języku łacińskich hymnów z polskich źródeł'' (1928), ,,Kwestia autorstwa hymnów w Officium in gratiarum actione pro Victoria Chocimensi'' (1926). Początków tego rodzaju poezji dotyczy również rozprawa pt. ,,Św. Augustyn u kolebki hymnografii łacińskiej'' (1930). Jakby podsumowaniem tych badań nad poezją hymniczną jest jedna z ostatnich prac autora pt. ,,Liturgiczne znaczenie hymnów brewiarzowych'' (1937).

Innymi rodzajami średniowiecznej poezji łacińskiej zajął się ks. dr Gładysz w rozprawach: ,,O łacińskich officjach rymowanych z polskich źródeł średniowiecznych'' (1933) i ,,Officium in gratiarum actione pro Victoria Chocimensi w historycznym rozwoju przedstawione z uwzględnieniem dwóch nieznanych druków liturgicznych z XVI w'' (1928) oraz ,,Łacińskie sekwencje mszalne z polskich źródeł średniowiecznych'' (1937). W ten sposób wykorzystał dużą część naszych nieopracowanych jeszcze wówczas źródeł odnoszących się do hymnów, officjów i sekwencji i uzupełnił przez to naszą znajomość tej literatury. Jako znawca poezji kościelnej pisał też ,,O polskich przekładach godzinek o NMP'' (1935), ,,Do przyszłej reformy brewiarza i mszału'' (1928), ,,Motywy polskie w poezji ks. Sarbiewskiego'' (1929) i na liczne inne podobne tematy.

Także powszechnej łacińskiej literaturze średniowiecznej poświęcił ks. dr Gładysz kilkanaście prac. W rozprawie „Konstanyn Wielki w współczesnej mu poezji" (1937) wykazał, że poeci ówcześni uważali tego cesarza za postać dziejową, przeznaczoną do wywalczenia Kościołowi wolności i pokoju. W recenzji pism św. Gaudencjusza, biskupa Brescji, na przełomie IV i V w., wydanych w 68 tomie wiedeńskiego zbioru łacińskich pisarzy kościelnych, wypowiedział ks. dr Gładysz swe uwagi o tym pisarzu, jego pismach i ich wydaniu oraz o tym całym bardzo potrzebnym wydawnictwie. Z pisarzy V wieku zajął się szczególnie poetą Sediliuszem, autorem hymnów i Carmen Paschale, głoszącej chwałę dzieł Bożych w Starym i Nowym Testamencie. Poświęcił mu trzy rozprawy, omówiwszy w nich dogmatyczne teksty w jego utworach poetyckich oraz wykazawszy dość częste już u niego użycie rymu i przechodzenie od przestrzegania iloczasu do przestrzegania akcentu zgłosek.

„Dogmatyczne teksty w poetyckich utworach Seduliusa. Studium z historii dogmatów w V wieku" (1930), „Rym w poezji Seduliusa" (1929) i „De extremis quibus Seduliana carmina ornantur verborum syllabis inter se consonantibus" (1931).

W pracy, wydanej w 1936 r. w języku francuskim pt. „Cassiodore et l'organisation de l'ecole medievale" przedstawił autor znaczenie tego sławnego w VI w. męża i wpływ jego dwu traktatów na organizację szkolnictwa w średniowieczu. W innej rozprawie francuskiej poznajemy klasyczne i poklasyczne elementy w dziele zmarłego w 735 r. św. Bedy Czcigodnego pt. „De arte metrica". Interesująca jest również opowieść o „Walce z Terencjuszem w klasztorze średniowiecznym", mówiąca o Roswicie z Gandersheim, żyjącej w X w. autorce łacińskich komedyj, wzorowanych na rzymskim komediopisarzu Terencjuszu.

Jak w 1936 r. w rozprawie „O studium łacińskiej filologii średniowiecznej w Polsce" wykazywał ks. dr Gładysz znaczenie tego przedmiotu dla wszystkich filologów nowoczesnych i historyków, tak w 1939 r. w ostatniej może swej drukowanej pracy pt. „Łacińska filologia średniowieczna a teologia" omówił jej potrzebę dla teologów i historyków filozofii.

Prace ks. dra Gładysza, pisane w językach polskim, łacińskim, francuskim i niemieckim, ukazywały się albo jako osobne publikacje, albo w takich czasopismach, jak „Przegląd Teologiczny" (późniejsze Collectanea Theologica), Mysterium Christi, Ateneum Kapłańskie, Eos, Kwartalnik Klasyczny, Pamiętnik

Literacki, Theologisch- praktische Quartalschrift, Kronika miasta Poznania, Gazeta Kościelna, a z dzienników Kurier Poznański itp.

Nadeszła druga wojna światowa. Prawie przez dwa lata jeszcze spełniał ks. dr Gładysz w ciężkich warunkach okupacyjnych swe obowiązki duszpasterskie i kończył lub obmyślał nowe prace naukowe. Nie miał jednak czasu ich wykonać, bo dnia 18 lipca 1941 r. aresztowany przez gestapo, został za czytanie i rozpowszechnianie tajnej prasy skazany na 5 lat więzienia i osadzony w VII forcie poznańskim. Potem przewożony kolejno do Wronek, Zwickau i do Rawicza (tu pracował w drukarni jako tłumacz), a wreszcie w połowie grudnia 1942 wywieziony do pracy w kamieniołomach w Gusen, znalazł tam śmierć męczeńską dnia 19 czerwca 1943 r. żałowany przez parafian jako ich dobry duszpasterz, a przez wszystkich jako przedwcześnie zmarły.

Bibliografia

Ks. Prof. E. Dąbrowski: Prolegomena do Nowego Testamentu. Wydanie drugie poprawione i uzupełnione. Warszawa — Pax — 1952, str 275, cena 20,— zł.

Ten doskonały wstęp do Pisma św. Nowego Testamentu powinien się znaleźć w bibliotece każdego duszpasterza. Powinien on też trafić do tych wszystkich katolików, którzy dzisiaj z entuzjazmem i gorącością ducha czytają księgi Nowego Testamentu. Autor daje w książce tej podstawowe wiadomości o Nowym Testamencie w ogóle tak w zakresie historycznym jak i w świetle źródeł Objawienia i orzeczeń Kościoła. Specjalny rozdział poświęca omówieniu problemów czterech ewangelii. W szczególności traktuje następnie kolejno 27 ksiąg Nowego Testamentu. Obok zagadnień specjalnych, jak np. problemat synoptyczny, ks. prof. Dąbrowski poszczególne księgi omawia według takiego mniej więcej schematu: Tło historyczne, osoba autora, autentyczność, miejsce i czas powstania, treść przewodnia, cel i przeznaczenie; w listach zwraca nadto uwagę na powód napisania oraz na adresata.

W opracowaniu dzieła ks. prof. Dąbrowski oparł się na licznych katolickich egzegetach i uczonych, uwzględnił wszakże również szeroko literaturę akatolicką. Pod koniec dzieła umieścił Autor odnośne orzeczenia Papieskiej Komisji

Biblijnej i mapkę Palestyny za czasów Chrystusa.

Dzieło ks. prof. Dąbrowskiego jest pożyteczną i poważną katolicką pozycją naukową. Jej specjalną nadto zaletą jest to, że mimo swej naukowości czyta się ją przyjemnie i łatwo: język jest miły, zrozumiały, żywy.

Ze świata

Bazylika Najśw. Serca Jezusowego w Brukseli. Przed paru miesiącami odbyła się w Brukseli konsekracja bazyliki Najśw. Serca Jezusowego. Kościół ten o długości 185 m i szerokości 107 m. w transepcie, największa katolicka świątynia w Belgii, może pomieścić ok. 35 tys. osób. Budowę bazyliki rozpoczęto w r. 1905.

Muzea Franciszkańskie na Ziemi Świętej. OO. Franciszkanie, którym powierzono od dawna opiekę nad wszystkimi pamiątkami Ziemi Świętej, po której stąpał Zbawiciel, pozakładali przy świątyniach Pańskich muzea, służące do lepszego poznania kultury i sztuki tej krainy, od czasów zamierzchłych aż do wieków średnich i początków doby nowoczesnej. Muzea takie istnieją przy Sanktuarium Nawiedzenia Najśw. Panny Maryi w Ain Karem, na górze Tabor i najbogatsze z nich muzeum w Nazarecie. Znajdują się tam ceramiki z 2500 roku przed Chr., wazy, począwszy od prymitywów z pierwszymi próbami ornamentów aż do pięknych wyrobów arabskich, całe kolekcje flaszek z epoki żelaznej, helleńskiej, bizantyjskiej i arabskiej (636—1100 po Chr.), dzbany, amfory i lampy oliwne.

Bardzo bogate są zbiory monet żydowskich, greckich, rzymskich, bizantyjskich, weneckich, monety z czasów wypraw krzyżowych i tureckich.

Osobno rozmieszczono zabytki mozaik, kapiteli, ornamentacji ściennej z różnych epok.

Pamiątki te dają pewne pojęcie o przeszłości Ziemi Świętej, która ulegała różnym wpływom i różne przechodziła koleje losu.

Nowe Seminarium Duchowne w Utrechcie. Ks. Bernard Alfrink, arcybiskup - sufragan diecezji utrechckiej, podał ostatnio do wiadomości, że wskutek znacznego wzrostu powołań kapłańskich trzeba będzie rozpocząć budowę nowego, większego niż dotychczas wyższego seminarium duchownego.

Maleje liczba powołań kapłańskich i zakonnych. Brak kapłanów we Francji. Prasa katolicka w Europie zachodniej dużą uwagę poświęca ostatnio sprawie powołań kapłańskich i zakonnych.

Obszerniej zajął się tym zagadnieniem na gruncie francuskim ks. kanonik F. Boulard w publikacji p. t. „Rozkwit czy upadek duchowieństwa francuskiego?" Praca ta zawiera następujące dane i fakty:

Wskutek ciężkiego kryzysu, jaki przechodził Kościół w latach 1901—1904 we Francji, poważnie spadła liczba powołań kapłańskich. Między rokiem 1901 a 1904 przypadało na 10.000 młodzieńców w wieku lat 25—29 — 52,1 święceń kapłańskich. W czasie od 1910 do 1913 spadły święcenia kapłańskie do liczby 30,6. Lata 1934 i 1935 wykazały godny uwagi wzrost: 49,5 święceń kapłańskich na 10.000 młodych ludzi. Od roku 1940 ich liczba znowu poważnie spadła: w latach 1948—1950 przypadało na 10.000 młodzieńców 30 święceń. Na najbliższe 5 lat liczba ta prawdopodobnie utrzyma się jako stała.

Zmniejszyła się również ogólna liczba księży francuskich. W roku

1904 rozporządzała Francja jeszcze 56.209 księżmi diecezjalnymi, tzn. 13,5 na 10.000 mieszkańców. W roku 1929 istniało już tylko 42.381 księży, czyli 10,4 na 10.000 mieszkańców. W roku 1946 liczba księży diecezjalnych wynosiła 39.371 czyli 9,7 na 10.000 mieszkańców.

Pocieszające jest w tym zjawisku zdaniem ks. Boularda to, że kler francuski jest stosunkowo młody, ponieważ tylko 35 procent kleru znajduje się w wieku ponad 60 lat. Jednak kwestia nowych kadr kapłańskich domaga się wielkiej uwagi w obliczu faktu, iż w latach 1952—1954 we Francji wyświęconych zostanie rocznie tylko równo 900 kapłanów, co stanowi liczbę całkowicie niewystarczającą.

Badania, przeprowadzone przez ks. kanonika Boularda, wykazały, że nikły napływ młodych sił do stanu kapłańskiego ma za przyczynę przede wszystkim niedostateczne wychowanie chrześcijańskie dzieci. Liczba francuskich rodzin, w których chrystianizm jeszcze rzeczywiście żyje — a to przecież stanowi warunek budzenia się powołań kapłańskich — jest zbyt mała. Lecz pewne przyczyny mieszczą się również w samym duchowieństwie; liczni chrześcijanie skarżą się na to, że niektórzy księża skupiają swe zainteresowania i siły wyłącznie na rzeczach czysto kościelnych, tracąc przy tym z oczu ludzką stronę.

Ks. kanonik Boulard wystąpił pod adresem kleru zakonnego z zaleceniem, aby więcej sił poświęcał pracy duszpasterskiej i misyjnej na terenach, na których daje się odczuć silnie brak kapłanów.

(Opracowano na podstawie „Katholischer Beobachter", 8/52 (AR.)

Brak kapłanów w Niemczech. Również *w Niemczech troską napawa* kwestia nowych poowłań kapłańskich. Organ archidiecezji paderbornskiej „Der Dom" (nr 13/52) uważa nawet sytuację na tym odcinku w swej archidiecezji za bardzo groźną. Zamiast się więc na ten temat rozwodzić, pismo ogranicza się do przytoczenia następujących cyfr:

W półroczu zimowym 1936 r. liczba paderbornskich studentów teologii wynosiła na pierwszym roku studiów: 76. W r. 1937: 73, w 1947 r.: 99, w 1948 r.: 65, w 1949 r.: 90, w 1950 r.: 79 i w r. 1951: 68.

Pismo zapytuje się: „Czy liczba ta dalej będzie spadać? I ilu abiturientów w tym roku wstąpi na studia teologiczne?" Na końcu zaś pismo cytuje wyjątki z alarmującego przemówienia prefekta kongregacji seminariów, ks. kardynała Pizzardo oraz następujące jego słowa: „Musimy udoskonalić nasze metody, ażeby żadne powołanie, które nam się ofiaruje, nie poszło na marne z naszej winy..."

Groźny brak sióstr zakonnych w Niemczech. Obok słabych liczbowo nowych kadr kapłańskich w Niemczech, znamienny jest również wzrastający brak sióstr zakonnych w tym kraju. Wedle doniesienia Deutscher Caritasverband akcesy do domów macierzystych Sióstr Miłosierdzia św. Wincentego a Paulo nie wyrównują już ubytku, spowodowanego starością lub zgonami. Gdy nowe domy macierzyste w marcu 1945 liczyły jeszcze 11.773 siostry, to pod koniec roku 1951 było ich tylko jeszcze 11.500.

(Petrusblatt, nr 7/1952 — AR)

Spadek żeńskich powołań zakonnych w Holandii. Spadek żeńskich powołań zakonnych stał się także zjawiskiem, budzącym zaniepokojenie w katolickich kołach Holandii. Dowodem tego zaniepokojenia może być ankieta przeprowadzona tam wśród matek przełożonych 56 żeńskich kongregacji misyjnych i zakonnych na temat przyczyn spadku liczby powołań zakonnych; 7 indagowanych na pytanie, czy spada liczba powołań zakonnych, nie udzieliło żadnej odpowiedzi, 16 wyraziło z pewnymi zastrzeżeniami

swe zadowolenie w tym zakresie, natomiast 33 sygnalizowały bardzo silny spadek powołań zakonnych. W porównaniu do okresu tuż po pierwszej wojnie światowej liczba kandydatek do stanu zakonnego spadła obecnie do połowy. W kwestii przyczyn tego stanu rzeczy przełożone wyraziły przekonanie, że zwiększa się stała przepaść między życiem w świecie a życiem klasztornym. Przy nadmiarze przyjemności wszelkiego rodzaju wyrzeczenia się działa na młodzież odstraszająco. Jako dalszą przyczynę wymieniono to, że młodzież dzisiejsza za mało wykazuje skłonności do poddania się jakiemuś autorytetowi. Postawa ta wywołana została fałszywymi metodami wychowawczymi. Niemniej ważną przyczyną jest też niedostateczna znajomość u młodzieży rzeczywistego życia zakonnego. Również przesadne podkreślanie wartości macierzyństwa i pomniejszający osąd ideału zakonnego powodują brak zainteresowania się młodzieży zakonami.

(Kath. Beob. 7/52 — AR)

Episkopat hiszpański przeciwko gen. Franco. Jak donosi „Muenchener Katholische Kirchenzeitung" (1952 nr 7) prymas Hiszpanii kardynał Pla y Deniel udzielił wywiadu redaktorowi holenderskiego czasopisma „De Bazuin" na temat wewnętrznych zagadnień Hiszpanii. Wywiad ten stanowi rozwinięcie listu pasterskiego episkopatu Hiszpanii z 1951 roku, poddającego ostrej krytyce rząd gen. Franco.

W wywiadzie dla „De Bazuin" prymas Hiszpanii stwierdza, iż klasa robotnicza Hiszpanii odwraca się od Kościoła katolickiego z tego względu, że jej zdaniem Kościół opowiedział się po stronie posiadających. Analizując to zagadnienie prymas Hiszpanii podkreśla, że kraj ten zbyt długo żyje w formach społecznych minionych czasów. Wskutek tego wytworzyły się w społeczeństwie hiszpańskim ostre kontrasty społeczne, których nie da się usunąć przez zastąpienie króla innym szefem państwa. W obliczu tych ostrych konfliktów społecznych między warstwą posiadających i wegetującymi masami ludowymi Kościół — oświadcza prymas Hiszpanii — opowiada się po stronie ludu, pragnąc nauką chrześcijańską poprzeć szlachetne dążenie ludu do równowagi społecznej. Jedynie w tym wypadku, w wypadku odzyskania równowagi społecznej, można się liczyć, zdaniem prymasa, z nawrotem mas ludowych do religii.

„Petrusblatt" (1952 nr 8) przytacza podobną ocenę stosunków wewnętrznych w Hiszpanii, potwierdzoną przez arcybiskupa Walencji Marcelino Olaeche'a Loizaga, jednego z przywódców katolickiego ruchu społecznego w Hiszpanii. Czasopismo hiszpańskie „Ecclesia" przytacza mowę arcybiskupa walenckiego, wygłoszoną w Instytucie Społecznym, a zawierającą materiały z ankiety dostarczającej — jak oświadcza arcybiskup Walencji — wstrząsających dowodów na ocenę zjawisk skrajności w stosunkach społecznych hiszpańskich. Próba przerzucenia mostu między klasą robotniczą a resztą Hiszpanii jest zadaniem beznadziejnym. Robotnicy tworzą specjalną klasę — stwierdza „Petrusblatt" — która z innymi klasami ma mało wspólnego i chce mieć mało wspólnego.

Redaktor: ks dr Maksymilian Rode — Adres Redakcji i Administracji: Poznań, Grobla 1, telefon 37-46 i 46-95. — NBP V. Oddział Miejski Nr 410-113-24 — Wydawca: Referat Duszpasterski Kurii Metropolitalnej w Poznaniu, Ostrów Tumski 2.

Poznańskie Zakłady Graficzne — Przedsiębiorstwo Państwowe — Zakład Nr 1 Poznań, ul. Drukarska 6 Druk. A1 kl. VII/60 g — 1000 - K-3-10704